Nr. 44 (1503). Warszawa, 30 października 1909 r. **Rok XXIX.**

PRAWDA

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

Redakcja i Administracja **Rysia 3. Telefon 73-80.**

POLITYKA i ŻYCIE SPOŁECZNE.

Widmo hakatyzmu.

Przed paru tygodniami zaznaczaliśmy już osobliwy nawet w naszych stosunkach fakt, rozporządzenie pana inspektora szkolnego, by w warszawskich szkołach ewangielickich język polski, jako przedmiot nauczania, został usunięty poza godziny programem objęte, a jako wykładowy—zastąpiony przez rosyjski lub niemiecki. Równocześnie pan inspektor dowolnie mianował szkoły te — szkołami niemieckimi.

Wrażenie tej bolesnej niespodzianki było wielkie; wszystkie organa prasy poddały surowej krytyce niczym nie umotywowane rozporządzenie, a kolegjum kościelne zboru ewangielickiego poczyniło kroki celem uchronienia utrzymywanych przez siebie szkół od narzucanej im giermanizacji.

Pan inspektor, pragnąc zapewne oddziałać na poruszoną żywo opinję publiczną, — wydrukował w pismach komunikat, w którym usiłował uzasadnić swe rozporządzenie. Na jego nieszczęście i na tej drodze obrona wypadła niefortunnie, gdyż kontr-komunikat kolegium kościelnego zboru ewangielicko-augsburskiego rozbił w puch jego argumenty i rzucił bardzo jasne a bardzo ciekawe światło na całą sprawę.

Okazało się, że p. inspektor, uczyniwszy gwałtowny skok wstecz, w czasy sięgające 1864 roku, raczył uznać za niebyłe prawa wydane 1905 r. a dotyczące szkół początkowych w naszym kraju, mianowicie wprowadzające polski wykład nawet do elementarnych szkół rządowych a dozwalające szkołom prywatnym, do jakich bezsprzecznie szkoły ewangielickie należą, wykładać po polsku we wszelkich klasach i oddziałach.

Okazało się także, że równie dowolnie jak z prawem obchodzi się p. inspektor i ze statystyką, odwracając wprost stosunek polskich i niemieckich dzieci w szkołach ewangielickich, gdyż znalazł 75 proc. tych ostatnich tam, gdzie zaledwie 25 proc. na życzenie rodziców uczy się po niemiecku religji *dla lepszego przyswojenia sobie obcej mowy.*

Co więcej, okazało się, że rolę giermanizatora nie wahał się wziąć na siebie magistrat miasta Warszawy, gdyż otworzył na swój koszt niemiecką szkołę początkową bezpłatną, do której prezentami gwiazdkowymi, ofiarowaniem książek, zeszytów itp., na ogólną liczbę 60-ciu znęcono 41 dzieci nie umiejących ani słowa po niemiecku, a zażądano dla niej pomieszczenia w lokalach szkół ewangielickich. Zupełnie słusznie podkreśla kolegjum kościelne, że szkoła ta jest dostatecznym dowodem, jak nieuzasadnionym jest żądanie tworzenia osobnych szkół niemieckich ewangielickich. Na 1200 dzieci, uczęszczających do szkół zboru ewangielickiego, zaledwie kilkoro nie zna polskiego języka, na 60-ciu uczniów szkoły niemieckiej aż 41 język niemiecki poznało dopiero w szkole!

Ta niemiecka szkoła utrzymywana kosztem miasta, uposażona przez grono bezimiennych łaskawców w pomoce naukowe, obdarowywana książkami i kajetami — to nowy rebus w życiu Warszawy, w której — bądź co bądź — jak stwierdza komunikat kolegjum, liczba głosów niemieckich na zebraniach ogólnych zboru nie przenosiła nigdy 6-ciu procent.

Najcharakterystyczniejszym — ale także najogólniej znanym jest fakt, że agitacja niemiecka, pod naciskiem której p. inspektor rozporządzenie swe wydał, nie wychodziła ani — jak on twierdził — *od ogółu Niemców*, ani — jak mniemano — ze strony jakiejś potężnej grupy miejscowych hakatystów, lecz od kilku jednostek, dla których nazwa hakatystów byłaby mimo wszystko jeszcze zbyt pochlebną.

Nie hakatyści, nie nacjonaliści, lecz po prostu

płatni agienci pruskiego rządu wraz ze swym protektorem p. Francmanem chwycili się bardzo ordynarnego środka agitacji, to jest zakupywania głosów przez opłacanie składek zborowych z funduszów, którymi p. Francman rozporządzał, a które może również bezimienni łaskawcy na ten cel przeznaczyli. Aresztowanie p. Francmana i pp. Hermanów pod zarzutem zdejmowania planów fortecznych odrazu usunęło z widowni obóz rzekomo hakatystyczny i nieomal w całości przeniosło go za kratę.

Wobec tych wszystkich rewelacji znika legienda o jakiejś systematycznej giermanizacyjnej działalności warszawskich Niemców, o pojawieniu się widma hakatyzmu w murach naszego miasta.

Natomiast wynurza się z nich niebezpieczeństwo inne. Nie na drodze zmagania się dwuch narodowości, dwuch kultur płyną prądy giermanizacyjne, lecz popierane są i narzucane z góry przez sojusz dwuch biurokratycznych ustrojów, sojusz dość nierówny zresztą i zakrawający raczej na wysługiwanie się biurokracji miejscowej interesom tej, która za kordonem wynaradawia i wywłaszcza naszych braci, a narzuca nam tutaj przez pruskiego agienta elementarz niemiecki.

Prócz sojuszu z Niemcami ujawniają się w tym wszystkim i wzory niemieckie. Dla stopniowego wytępienia wszystkich cech polskości z odwiecznie polskiej krainy używa się wszelkich możliwych mniejszości narodowych, stwarza się odrębność narodową gdzie jej niema, byle tylko liczbę Polaków zredukować. Jak Niemcy w pruskim zaborze odkryli osobne narody Kaszubów, Mazurów, Ślązaków—tak i pan inspektor w Warszawie z Polaków ewangielików zrobił i Niemców i Żydów (?) Szkołom żydowskim już dawno wzbroniono polskiego wykładu, oficjalnie przesądzając sporną kwestję narodowości żydowskiej. Sprawa szkół żydowskich poszła najgładziej, w ewangielickich spotkano poważne przeszkody — a jeśli te zostaną usunięte, jeśli kolejno mocą rozporządzeń i ukazów pojawi się w Królestwie tyle narodów, ile ich będzie potrzeba dla celów państwowych, w końcu wystarczy jedno pociągnięcie pióra, by z pośród nich *oficjalnie* narodowość polską usunąć. Na szczęście o kierunku historycznej ewolucji nie decydują urzędowe papiery.

Niweczenie samodzielności finlandzkiej.

Przerwana na lat parę skutkiem wojny Wschodniej i zamieszek wewnętrzych polityka niszczenia odrębności prawnopaństwowej Finlandji rozpoczęła się obecnie na całej linji nanowo. Jedyną różnicę czasów dzisiejszych a okresu osławionego Bobrykowa stanowi to chyba, iż obecnie polityka ta objawia się w aktach bardziej bezwzględnych, niż poprzednio. Z tego, co już zrobiono dotychczas, wynika, że ostatecznym celem polityki rządu nie jest bynajmniej „uporządkowanie" stosunku Finlandji do państwa — lecz zupełne zniesienie odrębności Finlandji.

Stanowczy zwrot w usposobieniu kół rządzących dla spraw finlandzkich datuje się od czasu odwołania lojalnego generał-gubernatora Gerarda. Jego następcą mianowano generała Bekmana, którego poprzedziła smutna sława uśmierzyciela prowincji nadbałtyckich. W kołach reakcyjnych i szowinistycznych nominacja ta była powitana z wielkim uznaniem

I w danym wypadku, jak zresztą w całej polityce rosyjskiej wobec narodowości podbitych, inicjatywa prywatna o wiele wyprzedziła pomysłowość i ekspansję zaborczą rządu. Gwałtowne wybuchy zdziczałego szowinizmu zawsze zwiastowały ponure okresy reakcji i ucisku narodowościowego, poniekąd torowały jej drogę, odwracając uwagę społeczeństwa od palących zagadnień wewnętrznych. Czasy Aleksandra III poprzedziła działalność pisarska Katkowa i jego współwyznawców, która dobitnie sformułowała zagadnienia rosyjskiej polityki wewnętrznej oraz stworzyła ideologję ucisku i tępienia narodowości ujarzmionych. Wogóle w sprawach narodowościowych rządowi przypadała dotychczas rola raczej biernego wykonawcy planów politycznych, podnoszonych i narzucanych mu przez jego poddanych. Każdy rząd ma swego Katkowa lub Mieńszykowa.

Po rewolucji hasło krucjaty na obcoplemieńców padło z tych kół społecznych, które zasilają sokami narodowymi szeregi biurokracji rosyjskiej. Koła te, w znacznej mierze utrzymujące się z renty obcoplemiennej, pragną dla siebie i swej potomności chleba skarbowego, stanowisk wpływowych i dochodowych, a gdzież znajdą bardziej złotodajne pola do żeru, do wyniesienia się, niż rozmaite „przedsiębiorstwa" w sprawach „inorodców"? Do nich przyłączyły się męty społeczne, zorganizowane i eksploatowane przez różne ciemne osobistości, których nigdy nie brak w okresach reakcji politycznej.

Jeszcze sale pałacu Taurydzkiego rozbrzmiewały odgłosem „konstytucyjnych" mów Stołypina, który uroczyście zapewniał przedstawicielstwo drugiej Dumy o nadejściu w Rosji czasów panowania prawa i swobód obywatelskich, kiedy *Nowoje Wremia* już rozpoczęło zażartą nagankę na „buntowniczych" Finlandczyków.

Po odwołaniu Gerarda rząd — holowany przez opinję „patryjotyczną" — wszedł stanowczo na drogę niweczenia odrębności finlandzkiej. Nie miał obaw, by robota ta napotkała przeciwdziałanie lub jakieś przeszkody w społeczeństwie własnym: ruch wolnościowy w państwie był zdławiony i wytępiony doszczętnie; opozycji w Dumie — ostatniej placówce ruchu wolnościowego — rząd uciął głowę zapomocą zmiany ordynacji wyborczej. Miejsce kadetów i socjalistów zajęli w Dumie październikowcy i „monarchiści". Wprawdzie, październikowcy pragnęli uchodzić w opinji publicznej za liberałów i konstytucjonalistów, lecz Stołypin poznał się na nich daleko prędzej, niż społeczeństwo rosyjskie. Pierwsza sesja trzeciej Dumy, zwłaszcza dyskusja nad interpelacją w sprawach finlandzkich wykazały, że w polityce nacjonalistycznej październikowcy pójdą bez najmniejszego oporu na pasku rządowym i za prawo tytułu „gospodarzy Dumy", gotowi wyprzedać cały swój lichy skarb ideowy. Wobec uległości Dumy i parcia kół „patryjotycznych", które w czasach obecnych jedyne mają prawo głosu, polityka finlandzka tym bardziej musiała się wydawać ponętną dla rządu, że upraszczała jego zadania „reformatorskie" i wzmacniała pozycję Stołypina w opinji warstw rządzących.

Początkiem zamachów na samodzielność Finlandji było rozwiązanie przez rosyjską Radę ministrów sejmu finladzkiego w kwietniu r. 1908-go. Było to tak jaskrawym pogwałceniem zasadniczych praw finlandzkich, iż nawet jeden z najbardziej umiarkowanych dzienników finlandzkich oświadczył, że „Rosyjska Rada ministrów ma takie same prawo rozwiązywać sejm finlandzki, jak Senat finlandzki rozwiązywać Dumę rosyjską. Jedyna różnica na tym polega, że rosyjska Rada ministrów ma do swych usług armję zbrojną, my zaś jej nie posiadamy." W parę miesięcy potym zatwierdzono Najwyżej uchwałę Rady ministrów, która rozciągała jej kompetencję na wszystkie sprawy finlandzkie przedłożone do sankcji Monarchy. W ten sposób została zmiesiona odrębność w referowaniu

spraw finlandzkich, i stosunki wewnętrzne w Finlandji poddano kontroli rosyjskiej Rady ministrów.

Od tego czasu nowe ciosy bez ustanku spadają na głowy Finlandczyków. Ostatnio wyjęto z pod kompetencji sejmu cały szereg tak zwanych spraw administracyjnych oraz zdecydowano bez udziału sejmu sprawę wynagrodzenia pieniężnego za nieodbywanie powinności wojskowej przez Finlandczyków. Zamierzono też oderwanie od Finlandji gub. Wyborskiej i przyłączenie jej do Cesarstwa.

Wszystkie te kroki rządu rosyjskiego zupełnie zdezorganizowały życie Finlandji. Wytworzyły się takie stosunki, przy których żadna partja konstytucyjna nie chce przyjąć na siebie odpowiedzialności rządów w Senacie finlandzkim. Od maja r. b. Senat funkcjonował jedynie dzięki kilku senatorom departamentu gospodarczego, należącym do partji starofińskiej, lecz po ostatnich wypadkach i ci „ugodowcy" finlandzcy nie uznali za możliwe pozostawać nadal u władzy. Na ich miejsce zamianowano urzędników rosyjskich o nazwiskach fińskich, z których jeden tylko jest naprawdę Finlandczykiem. Jest to nowe pogwałcenie zasad konstytucji finlandzkiej, które pozbawiło Finlandję jej legalnego rządu narodowego.

Dotychczasowe protesty Finlandczyków i próby oporu na drodze legalnej pozostały bezskuteczne. Wszystkie petycje Sejmu i przedstawienia Senatu o zniesieniu rozporządzeń bezprawnych odrzucono. Wobec tego Finlanja znalazła się obecnie w tym położeniu tragicznym, położeniu bez wyjścia, kiedy prawo staje się fikcją, kiedy trzeba albo się poddać bez oporu, albo też chwycić się środków przez prawo nieprzewidzianych. Ostatnie wieści z Finlandji brzmią bardzo ponuro. Zdaje się jest bardzo prawdopodobną ewentualność, iż rozkazów nowego, mianowanego wbrew zasadom konstytucji finlandzkiej Senatu nie zechcą usłuchać ani urzędnicy, ani obywatele finlandzcy. Sprawy przybierają obrót tak groźny, że rząd rosyjski uznał za konieczne wprowadzić do Finlandji kilka dywizji wojska.

Dla nas sprawy finlandzkie powinne być bardzo pouczające. Utrwaliło się u nas w kołach staro- i neo-ugodowych przeświadczenie, że klęski, jakie spadają na nas, są następstwem „krnąbrności naszej i niesfornego zachowania się" w okresie rewolucji. Otóż Finlandja jest krajem, który najspokojniej i najlojalniej zachowywał się wobec państwa i jego rządu, nie uchroniło to jej wszakże od klęsk i zamachów na jej stan posiadania. Oby nasi mężowie stanu uprzytomnili sobie wreszcie na przykładzie Finlandji, że w stosunkach pomiędzy narodami zawsze działa logika siły, wobec której prawo i słuszność są tylko, niestety, fikcjami politycznymi.

W. R.-S.

Ludność żydowska w Królestwie, Litwie i Rusi.

(Ciąg dalszy).

Gub. Suwalska administracyjnie jest związana z Królestwem Polskim, ekonomicznie jednak ściślej związana z Litwą i wskutek tego podlega tymże zjawiskom, jakie konstatujemy i na Litwie. Litwa i Białoruś, z wyjątkiem obwodu Białostockiego, są to kraje o wybitnie rolniczym charakterze; żydowski proletarjat, skupiony w małych miasteczkach, nie może znaleźć wystarczających źródeł zarobku, tłumnie emigruje za Ocean—wskutek tego stosunek liczebny Żydów do ogółu ludności zmienia się. Na emigrację mas żydowskich wpływa również zakaz osiedlania się Żydów po wsiach — co znów wywołuje przeludnienie ludnością żydowską miast i miasteczek. Królestwo Polskie jest krajem bardziej uprzemysłowionym, liczniejsze rzesze mas żydowskich znajdują zarobek, wskutek tego Żydzi emigrują mniej tłumnie. Z drugiej strony widzimy dość silną emigrację żydowską z gub. litewskich i rusińskich do Królestwa Polskiego — nie mówiąc o masowej immigracji Żydów w r. 1882 wydalonych z Rosji, gdy przybyło do Królestwa około 40 tysięcy Żydów i gdy odsetek ludności żydowskiej raptownie wzrósł z 13,4 na 14,09.

Żydzi przeważnie emigrują do Stanów Zjednoczonych.

Emigracja Żydów z państwa Rosyjskiego w zestawieniu z emigracją innych narodowości przedstawia się następująco:

W latach	emigrowało: Żydów	Polaków	Litwinów, Białorusinów i Łotyszów	Ogółem wszelkich narodowości
1899	24,275	15,517	6,838	60,982
1900	37,011	22,500	10,297	90,787
1901	37,660	21,475	8,805	85,227
1902	37,846	33,859	9,975	167,347
1903	47,689	39,548	14,420	136,093
1904	77.544	32,577	12,707	145,141
1905	92,383	47,224	17,649	174,897
1906	125,234	46,204	13,697	215,665
1907	114,932	73,112	24,811	258,943
1908	71,979	37,947	13,270	158,712
Razem	666,558	369,973	132,469	1,441,217

Stosunek procentowy oddzielnych narodowości emigrujących z państwa Rosyjskiego przedstawia się jak następuje:

Narodowość	Procent 1907	1908
Żydzi	44,4	46,
Polacy	28,2	24,2
Litwini, Białorusini katolicy i Łotysze	9,6	8,5
Finnowie	5,1	4,1
Niemcy	5,2	6,2
Rosjanie, Rusini i Białorusini	6,2	10,4
Szwedzi	0,5	0,4
Inne narodowości	0,3	0,2

Jeżeli naród, stanowiący w Państwie 4, 16 proc. ogólnej ludności, tak tłumnie porzuca swe stałe siedziby i szuka chleba w Ameryce, stanowiąc 46 proc. ogólnej emigracji, — to fakt ten wymownie świadczy jakie muszą być warunki jego życia i rzuca pewne światło na kwestję, dlaczego ideje asymilacyjne z taką trudnością przenikają do mas żydowskich.

Szkoda wielka, że statystyka amerykańska nie uwzględnia Żydów z Cesarstwa i Żydów z Królestwa Polskiego — unaoczniłoby to nam różnice warunków ekonomicznych proletarjatu żydowskiego w Królestwie, Litwie i Ukrainie.

Gdy wśród ludzi innych narodowości spotykamy tendencje powrotu do kraju — Żydzi przenoszą się za Ocean na stałe i bardzo nieliczny tylko odsetek powraca.

Gdy w r. 1908 wskutek kryzysu ekonomicznego, które przeżywały Stany Zjednoczone, powróciło do Rosji: Polaków 18,187, Rosjan 6,636, Litwinów i Białorusinów 3,282 — Żydów tylko 5,439. Ogółem powróciło 37,777 osób. Odsetek Żydów do ogółu powracających wyraża się liczbą 14,3, — co wobec nader licznej emigracji żydowskiej stanowi nader nieznaczną liczbę.

Emigracja więc zamorska wpływa na obniżanie się procentu ludności żydowskich w gub. litewsko-białoruskich.

I w Królestwie Polskim ludność żydowska nie wszędzie wzrasta — jednakowo. Spostrzegamy nawet zmniejszanie się jej w gubernjach o słabym rozwoju przemysłu.

Jeżeli zestawimy odsetek żydowskiej ludności z r. 1893 z takimże odsetkiem z r. 1897, to w owym 4-leciu odsetek Żydów wzrasta w dwuch najbardziej przemysłowych gubernjach: Piotrkowskiej (*z 13 proc. na 15,83 proc.!!*) i Warszawskiej (z 15,8 proc. na 16 42 proc.); nie ulega prawie zmianie w Siedleckiej (w r. 1893 — 15,9 proc. — w r. 1897, 15,84) i Radomskiej (w r. 1893, 14 proc. — w r. 1897, 13,89 proc.) — nieznacznie obniża się w gubernjach Kaliskiej (z 8,8 proc. na 8,59 proc.), Kieleckiej (z 10,8 na 10,32), Lubelskiej (z 13,7 proc. na 13,26 proc.) i Łomżyńskiej (z 16,3 proc. na 15,69 proc.), zniża się bardziej w gubernjach Płockiej (z 11,2 proc. na 9,13 proc.) i Suwalskiej (*z 13,4 na 10,09!!*)

W 4 gubernjach, a mianowicie Warszawskiej, Piotrkowskiej, Siedleckiej i Łomżyńskiej, procent Żydów jest wyższym od normy przeciętnej dla całego kraju.

Gubernje Warszawska i Piotrkowska, są to najbardziej handlowe i uprzemysłowione dzielnice; w gubernji Siedleckiej osiadło dużo Żydów, wydalonych z Rosji, jako najbardziej wysuniętej na wschód; w gubernji Łomżyńskiej nadwyżka procentowa Żydów tłumaczy się masową emigracją tubylczej ludności za Ocean. W 2 gubernjach: Radomskiej i Lubelskiej procent Żydów zbliża się do przeciętnego w całym kraju. Minimum wykazuje gub. Kaliska — gdzie Żydzi stanowią tylko 8,59 proc. ogólnej ludności.

Każden siódmy mieszkaniec Królestwa i każden trzeci mieszkaniec miasta jest Żydem, poczuwającym się do swej odrębności. W tym tkwi cały tragizm i powaga tej sprawy, że my, pozbawieni samodzielności politycznej, skrępowani w swym naturalnym rozwoju całym szeregiem praw ograniczających, posiadamy wewnątrz siebie obcy organizm, nadzwyczaj luźnie związany z całokształtem życia naszego.

Żywioł żydowski nierównomiernie osiadł w miastach i na wsi. I gdy w miastach Żydzi stanowią 34,9 proc. ogólnej ludności — w osadach i wioskach tylko 6,9 proc.

Na 114 miast w Królestwie w 66 Żydzi stanowią więcej niż połowę ludności. Największy procent Żydów wykazuje miasteczko Działoszyce, położone w powiecie Pinczowskim w gub. Kieleckiej, gdzie Żydzi dosięgają 87,4 proc.; najmniejszy Nieszawa (g. Warszawska) — 11,5 proc. Na 355 osad w 145 procent Żydów jest wyższym niż 50 proc. Najbardziej żydowską osadą w kraju są *Ryki* w powiecie Garwolińskim gub. Siedleckiej — gdzie Żydzi *stanowią* **99,6%**, najmniej ich zamieszkuje w Glinianach — powiecie Opatowskim gub. Radomskiej — gdzie procent Żydów zaledwie dosięga 1.3 proc. Największe skupienia żydowskie spotykamy w powiatach Bialskim (Siedleckiej gub. 22,4 proc.), Lubelskim (20,7 proc.), Siedleckim (19,5 proc.), Łomżyńskim (19,1 proc.) Puławskim (gub. Lubelskiej 18,9 proc.).

Należy zauważyć, iż ludność żydowska tam jest liczniejszą, gdzie jest mało Niemców i odwrotnie. Wskazuje to, że żywioł żydowski nie może wytrzymać współzawodnictwa z Niemcami i zmuszony jest im ustępować. Najmniej Żydów posiadają powiaty Słupecki gub. Kaliskiej (3,6 proc.) i Nieszawski gub. Warszawskiej (3,7 proc.). Oba te powiaty liczą znaczny odsetek ludności niemieckiej — a mianowicie: Niemców w Słupeckim 13,9 proc., w Nieszawskim 10,4 procent).

W Warszawie w r. 1897 Żydów znajdowało się 27,1 proc. [1]) W Łodzi w r. 1897 Żydzi stanowili 29,4 i w roku 1907 — 23,1 proc. t. j. ludność żydowska zmniejszyła się o trzecią część. Należy to tłumaczyć emigracją masową Żydów z Łodzi wskutek kryzysu ekonomicznego, jaki przeżywa przemysł łódzki z powodu ostatnich ruchów rewolucyjnych. W Królestwie Polskim na 100 Żydów — 55,9 mieszka w miastach, 30,6 w osadach i 13,5 na wsi.

Jeżeli zwrócimy uwagę, że miasta i osady różnią się tylko pod względem administracyjnym — to na 100 Żydów — 86,5 mieszka w miastach i osadach, — a 13,5 na wsi.

Przechodząc teraz do Litwy i Białej Rusi, musimy podkreślić dużą różnolitość etnograficzną w tych dzielnicach, gdzie Żydzi ze względu na swą liczebność i rozrzucenie po kraju stanowią bardzo ważny element ludności.

Liczna na Litwie i Białej-Rusi ludność żydowska, dzięki charakterowi swego skupienia w miastach i miasteczkach w żadnym z powiatów większości nie tworzy. Liczba Żydów przewyższa 20 proc. w 6 powiatach: Białostockim (gub. Grodzieńskiej **28,9%**), Mohylowskim (22,1 proc.), Witebskim (22,9 proc.) Brzesko - Litewskim (gub. Grodzieńskiej 20,9 proc.), Dzwińskim (gub. Witebskiej 20,2 proc.) i Grodzieńskim (20,1 proc.). W Królestwie po nad 20 proc. liczą tylko 2 powiaty: Bialski gub. Siedleckiej (22,4 proc). i Lubelski (20,7 proc.).

Znaczną liczbę Żydów w powiatach Białostockim i Brzesko-Litewskim należy tłumaczyć tym, że owe powiaty stanowią najbardziej uprzemysłowione punkta w tak zwanym urzędownie „Kraju Północno-Zachodnim."

Powiat Dźwiński, — a raczej samo miasto Dźwińsk (Dynaburg) wskutek swego gieograficznego położenia jest jednym z najruchliwszych punktów handlowych w tej dzielnicy kraju. Znaczny procent Żydów w pozostałych powiatach da się wytłumaczyć bardziej intensywnym życiem handlowym i przemysłowym miast gubernjalnych, jakimi są Mohylów, Witebsk, Grodno.

Najbardziej żydowską gubernją nie tylko na Litwie, ale i w całym Państwie Rosyjskim jest gubernja Grodzieńska, gdzie ludność żydowska dosięga 17,4 proc. Skupiają się oni jednak przeważnie w zachodniej przemysłowej części gubernji. Najmniej ludności żydowskiej liczą ubogie gubernje Witebska i Mohylowska — gdzie w szeregu leśnych powiatów ludność żydowska nie przekracza 10 procent.

Takimi są w gub. Mohylowskiej powiaty: Bychowski (9,1 proc. Rohaczewski (9,7 proc.) i inne.

(d. n.) *Piotr Zubowicz.*

[1]) Wyznawców religji mojżeszowej liczono w Warszawie r. 1897 — 32 proc. w 1907 r. 39,7 proc.

Pątnicy jasnogórscy na wystawie.

Przy akcie zamknięcia Wystawy Częstochowskiej, z ust prezesa Komitetu, ks. Lubomirskiego, padły między innymi takie słowa:

„...Na tle wystawy Częstochowskiej wzmocniły się ogniwa, łączące wszystkie warstwy społeczeństwa, w poczuciu konieczności wspólnej pracy; stąd poszło ożywcze światło kultury i iskra wzniecająca zapał do zjednoczonego natężenia woli, wytrwałości i poświęcenia, aby przyszłości naszej na polu pokojowego postępu szerokie otworzyć wrota".

Jakże miło być musiało uczestnikom pożegnalnego bankietu, gdy słuchali słów powyższych i wierzyli, że ich kilkomiesięczne, niezaprzeczalne zresztą, trudy takie setne wydały plony. Nietylko w mówkach komitetowych i w dziennikarskich fanfarach rozbrzmiewało przekonanie: oto jesteśmy dźwignięci, odrodzeni, wszechstronnego rozwoju zazdroszczą nam sąsie-

dzi — a dokonała tego wystawa Częstochowska. Chyba to oczywisty cud Jasnogórski. O ileż skromniejszymi były zrazu zamierzenia samego Komitetu! W historyczno-programowym exposé, zamieszczonym w przewodniku po Wystawie, znajdujemy takie określenie zasadniczego punktu wyjścia całego przedsięwzięcia:

„Po kryzysie lat ostatnich pozostało mniemanie, że przemysł, z takim wysiłkiem powstały, runął i że nie podniesie się. Fabryki okręgu Łódzkiego, Częstochowskiego i Sosnowickiego boleśnie ten stan rzeczy odczuły. Ażeby ten stan poprawić i dowieść, że przemysł nasz nie przepadł, „że fabryki mogą produkować, a robotnik — doświadczeniem nauczony, już do systematycznej pracy się weźmie tak w fabryce jak i na roli — zwrócono się do wystaw..."

Bardzo pięknie, — a dlaczego wybrano Częstochowę?

Oto jak tłumaczą twórcy Wystawy: „posiada ona urok przyciągający masy ludu, który szuka tu ukojenia zbolałej duszy i nabiera otuchy do dalszego trudnego życia".

Urok ten zrobił swoje. 800,000 ludzi przepuszczono przez ustawiony pod Jasną Górą turniket wystawowy. Pora zapytać, czy ten tłum, przychodzący tu corocznie po owo „ukojenie zbolałej duszy", wyniósł tym razem coś więcej nad problematyczną i nie wyrażającą się w czynie otuchę — czy znalazł raczej niezbędną mu podnietę do wzięcia się za bary z tą uznaną „złą dolą"?

Jeśli się to nie stało, to okazja niezwykła i w warunkach naszych jedyna—została zmarnowana. I mimo wielu dodatnich stron i powodzenia Wystawy Częstochowskiej, trzeba stwierdzić fakt, że olbrzymia większość zwiedzających ją tłumów—owych okrzyczanych korzyści nie odniosła. A ten właśnie, wzięty ze strony handlowej „urok" Częstochowy obowiązywał do tego, aby Wystawa dorosła do znaczenia areny, z której to wszystko, co jest w narodzie kulturą—przemówićby mogło do usuniętej i usuwającej się od niej, analfabeckiej większości narodu.

Przed rokiem urządzono siłami kilku jednostek maleńką wystawę szkolną w Łowiczu. Jako echo po niej, w całej prasie ludowej poszły głosy włościańskie: „potrzeba nam szkoły!" Więc mała ta Wystawa się udała

Przedsięwzięcie Częstochowskie nie rokuje osiągnięcia równie dodatniego wyniku. Zamierzenia dydaktyczne znajdowały swój wyraz tylko w szczegółach takich jak zagroda włościańska, poniekąd pawilon kulturalno-oświatowy, — w tym kierunku wystąpiło też Tow. Pop. Przemysłu ludowego oraz, zapoczątkowane niezależnie od Wystawy, Muzeum Higjeniczne. Gdy dodamy do tego eksponaty działu naukowo-rolniczego i narzędzi, to przyznać będziemy musieli, że materjału do oświatowego zużytkowania było jednak sporo. Materjał ten, wyodrębniony z balastu drobno przemysłowej rupieciarni i reklamowej naganki, mógłby mieć duże znaczenie przy umiejętnym podaniu go zwiedzającym; pewną korzyść odniosła zeń niewątpliwie obeznana już nieco z wysiłkami myśli ludzkiej i otoczona opieką instruktorów publiczność włościańska ze zjazdu przedstawicieli kółek Rolniczych, ale ten element pątniczy, którego przecież głównie oczekiwano, z chaotycznych wrażeń, jakich mu dostarczała wystawa, przy zupełnym braku dydaktycznej pomocy — pożytku odnieść nie był w stanie.

Czy my wogóle znamy ten element pątniczy, czy zdajemy sobie choć w przybliżeniu sprawę z jego psychologji i z tych prądów uczuciowych, które ześrodkowują się pod Jasną Górą?

Oto do miasta wchodzi kompanja. Tłum zgłodzony, zziajany, wyczerpany, roznamiętniony oczekiwaniem. W pośrodku, umiejętny zazwyczaj wywoływacz nastroju, proboszcz — w otoczeniu dziewic w bieli, trzymających naokół niego wieńce z zieleni.

Idą — opanowani jednym, wyłącznym pragnieniem — zrzucenia z bark cisnącej niedoli. I oto na wzgórzu pod klasztorem, pod tą słynącą od wieków z cudów stolicą niebieskiej Królowej, spotyka ich biały zakonnik i wita w imieniu tej wszechmocnej Królowej i wszystko obiecuje i rajskie przyrzeka rozkosze, byle się ukorzyć, nie buntować, nic nie pragnąć, o świecie zapomnieć... I tłum cały pada na ziemię, tarza się w prochu, łzy udręczenia mieszając ze łzami ekstazy. Potym spowiedź, zdobyte, jako łaska, przebaczenie, i ufne złożenie przed obrazem wszystkich bólów, potrzeb i pragnień. Wieczorem zaś, po całym dniu tego psychicznego wysiłku, jak miło dać folgę strudzonemu ciału i, obozując na wałach, leżeć w półśnie—wśród krążących opowieści o cudownej mocy, przed którą ustępują choroby, nędza, wszelki trud i przepotężne władztwo złej doli; taki słodki zanik świadomości, takie błogie osłupienie...

Nie zagłębiając się bynajmniej w roztrząsanie wartości religijnych uniesień, stwierdzić musimy, że w owej chwili, pod wpływem świadomie wywołanego nastroju, a więcej może jeszcze w wewnętrznej, niezaspokojonej potrzebie duchowych wrażeń — dusza pątniczej gromady, ta dusza, której twardą, codzienną skorupę kował i ucisk i ciemnota i nędza — roztajała.

Z tym momentem zaczyna się społeczny tragizm „duchowej stolicy" Częstochowy.

Każde słowo, które tu pada jest bluźnierstwem przeciw życiu, jest depprawacją społeczną, apoteozą fatalizmu. Wszystko, co stanowi otoczenie Jasnej Góry, obliczone jest na to, by rozkołysaną duszę chłopską wcisnąć w paszczę zabobonu, zatrzymać ją w okopach średniowieczczyzny.

Marzy ci się chłopie o jakiejś lepszej, jaśniejszej doli, osiągniesz ją z łatwością — kochaj tylko częstochowską Maryję, czyli odmawiaj różańce i składaj ofiary przed Jej ołtarzem, — to twoje nędzne życie obecne prędko minie, a potym czekać cię będzie wieczna szczęśliwość... Więc poco wszelka walka tu, — poco grzeszne bunty, poco wysiłki próżne, skoro jest jedna droga pewna, a nawet wygodna — modlitwa i zapomnienie.

A jaką być ma ta modlitwa?

Czy to ten głos skargi, co się z udręczonej duszy wyrywał w przestrzeń, do przeczuwanej stolicy miłosierdzia?

O nie, to jest bunt i bluźnierstwo, obraza majestatu sprawiedliwości. Modlitwa, za którą kupić sobie można przyszły spokój, to właśnie różaniec, owa opoka analfabetyzmu, to składanie ostatniego grosza na przepełnionej tacy klasztornej.

A kto posiada sztukę czytania, niech się zaopatrzy w jednym z kramów, opartych o mur klasztorny, w książeczkę barwnie oprawną, w Toruniu, lub Katowicach tłoczoną, — dowie się z niej jak to już „Królowa ze Saby w mądrej rozmowie z królem Salomonem" przepowiadali zagrzęźnięcie świata w zepsuciu, lub jakich to mąk doznają ci, co grzeszą pychą i zadufaniem w ludzkiej mądrości...

Żadna z naszych instytucji kulturalno-oświatowych nie zadała sobie dotąd trudu bliższego zbadania tego rodzaju literatury; niechajby, zajmujące się statyką, Tow. Polskiej Kultury zestawiło, choć w przybliżonym obliczeniu — ilość rozchodzących się na kraj tych właśnie wydawnictw, w stosunku do wszelkich innych usiłowań wydawniczych — razem wziętych. Zdaje mi się, że cyfry te wraz z bliższą znajomością tej podwaliny naszego czytelnictwa ludowego pozwoliłyby nam lepiej orjentować się w takich objawach życia — jak mankietnictwo, lub szerokie rozgałęzienie kongregacji.

A cały ten podtrzymywany fetyszyzm w stosun-

ku do poświęcanych uroczyście obrazów, medalików i szkaplerzy, — ta, obliczona na zupełną bezkrytyczność, miljonowa produkcja barbarzyńskich bohomazów?! Setki kramów z onymi książkami i innymi świętościami otaczają wieńcem Jasną Górę, — setki tysięcy naszego ludu tu zaspokaja swe umysłowe i artystyczne potrzeby. Te przyczepione do muru klasztornego budy jarmarczne, to jakby przejście od zamkniętej w murach ekstazy do codziennego życia. Resztki napięcia uczuciowego wymienia się tu na drobną monetę zabobonnej dewocji, która się tak dobrze zestraja z najciemniejszymi stronami powszedniego życia.

Więc nie dziwmy się, że całe podgrodzie jasnogórskie, owe liczne domy zajezdne i gospody — to czeluście wstrętne, odpowiadające swym poziomem kulturalnym potrzebom i wymaganiom *brodiagi*. Wszak przybywający tu pątnik jest albo rozmodlony i pogrążony w poczuciu małości i niegodności własnej, albo wyczerpany fizycznie i duchowo i zobojętniały na otoczenie, albo w końcu oskubany materjalnie, więc w każdym razie nie stawiający żadnych wymagań.

Oprócz licznych rzesz, traktujących święte miejsce z zabobonną egzaltacją, istnieje również pokaźny odsetek stałych bywalców, szukających tu satysfakcji towarzyskich, — spotkania z obcymi, gawędy. Dla tych istnieje przedewszystkim: świetność kompanji, porównania wystąpień poszczególnych parafji, wspaniałość nabywanych chorągwi i ferctronów. Jest to ten sam element, który, na wielkim świecie, w dramatach muzycznych Wagnera zachwyca się dekoracjami.

W ogromnej większości są to kobiety, owe wszechstanowe kumoszki, kolporterki nowin, filary wpływów plebanji. W kompanji one grają ważną rolę, organizują pompę zewnętrzną, przeprowadzają zbiorowe zakupy sprzętów kościelnych, informują nieświadomych miejscowego obyczaju, napędzają do ścisłego przestrzegania pielgrzymkowych formuł.

Zbliża się wreszcie chwila odwrotu kompanji. Dzwony wieżowe biją na pożegnanie, a gromada ludzka znów leży krzyżem i tarza się w prochu i łka.

Jakto? więc wracać trzeba do dawnego jarzma? I znowu na wzgórzu staje biały zakonnik i mówi o tym, że przecież cały ciężar rzeczywisty, ciężar win popełnionych został już złożony u stóp Królowej; teraz, z rozradowaną duszą, wolną od wszelkiej troski wracać trzeba do miejsca swego czasowego bytowania, — wracać z myślą jedyną, by znów jak najrychlej przypaść do stóp Królowej — wspomnieniem tej chwili żyć, za nią tęsknić.

I gromada bierze na barki swe węzełki, obciążone świętymi zakupami, otrząsa się z resztek rozmarzenia i z chłopską rezygnacją, na zaciętości opartą, powtarza: ha trudno, trza iść. A za nią w ślad idzie wzmożona fala nieporadności życiowej, bezmyślnej automatyczności czynów, niezwalczonej bierności i przygnębienia.

Tych ludzi przyprowadzali proboszcze, w poczuciu społecznego „wypada", na wystawę. Setki tysięcy obojętnych źrenic przesuwało się, w szybkim pochodzie, po przypadkowym zbiorowisku wystawowym. Umiejętnego zestawienia wrażeń, zdolnych zapanować nad wyczerpaniem i martwotą pątniczych umysłów, nie było. Odrobina ciekawości czepiała się najczęściej szczegółów takich, jak pawilon browarny z beczek, lub okręt z igieł wyrobiony, nie mówiąc już o „fruwającej Madelajnie", która razem ze swą jarmarczną budą znalazła gościnność na wystawie, jako atrakcja dla ludu.

Liczba instruktorów — ochotników, których praca mogła jedynie warunkować pożytek zwiedzania, była śmiesznie mała. Płynęły tedy tysiące ludu przez plac wystawowy, wodząc bezmyślnym tępym wzrokiem w około siebie, tym wzrokiem, jakim nasz emigrant ogarnia mijane w drodze do Ameryki przestrzenie cywilizowanego świata, wzrokiem szklanym wewnątrz, ku własnej nędzy zwróconym, nie umiejącym uchwycić nici między tymi różnymi światami.

Dodajmy jeszcze, że nie uznano za potrzebne urządzić na placu bodaj budy, w którejby skromniejsza publiczność pożywić się, spocząć i pogawędzić mogła; tak więc, zetknięcie się ludzi różnych stron kraju tak pożądane i korzystne, jeśli miało miejsce—to tylko drobnymi grupkami, na noclegach, poza wystawą. Nie upajajmy się tedy emfatycznymi frazesami o wielkim znaczeniu dla szerokich mas Wystawy Częstochowskiej. Tych szerokich mas, wydanych na działanie wszelkich ciemnych potęg, nie dźwignie uroczyście spalony fajerwerk, a przecież na codzień: „odłogiem leży nasza rola, choć są ziarna, niema rąk do siania".

I. K.

NA DOBIE.

Zebranie dyskusyjne P. Z. P.

Dnia 26 b. m. w lokalu P. Z. P. odbyło się pierwsze po wakacjach zebranie dyskusyjne. Przewodniczący, p. Wł. Semadeni, udzielił głosu p. E. Waydlowi, który zdawał sprawę ze swej wycieczki do Poznania, podjętej dla poznania miejscowych stosunków i zaznajomienia się z grupami społecznymi o kierunku zbliżonym do ideowego stanowiska P. Z. P.

Ażeby zdać sobie sprawę z charakteru i znaczenia faktów, trzeba przedewszystkim poznać teren ogólnych warunków, wśród których się rozegrywają. Poznanie tego terenu wyjaśnia nam olbrzymie różnice, uderzające nas przy porównaniu społeczeństwa polskiego w Poznańskim ze społeczeństwem innych dzielnic Polski. Walka przeciw giermanizaci, samoobrona przed przymusowym wynarodowieniem jest tam czynnikiem górującym przed wszystkimi innymi. Ona pochłania niemal cały zasób sił tkwiących w społeczeństwie. Dla zobrazowania wytwarzającej się stąd sytuacji pokazał prelegient mapy Ks. Poznańskiego i Prus Zachodnich wydane przez Słupskiego, wykazujące postępy kolonizacji pruskiej w tych dzielnicach i przytoczył dane statystyczne. Od 1886 — do 1906 r. nabyła komisja kolonizacyjna w obwodzie Pod znańskim od 66 właścicieli Polaków 37,538 hektarów, od 104 Niemców 61,424 hekt.; w obwodzie bydgoskim od 75 Polaków 38,447 hektarów i od 154 Niemców 80,819 hekt.; w Prusach Zachodnich zaś w obwodzie Gdańskim od 6 Polaków 2,519 hekt. od 25 Niemców—16,630 hekt. w Kwidzyńskim od 27 Pol. 17,443 hekt. i od 117 Niemców 37,700 hekt.

Wyższe cyfry nabytków z rąk niemieckich wynikają stąd, że komisja najczęściej kupowała majątki nie wprost od Polaków, lecz pośrednio przez swych podstawianych agientów, t. j. pozornie z drugiej ręki. Zaledwie $^1/_6$ majątków nabyto z przymusowej licytacji.

Nietylko z ziemi wypierani są Polacy; na wszelkich połach życia gospodarczego i kulturalnego doznają prześladowań i ograniczeń. Wszystkie doroczne sprawozdania stowarzyszeń i instytucji są kroniką szykan policyjnych lub procesów z władzami.

Jako przykład przytoczył p. Waydel ostatnie sprawozdanie ze Związku Sokołów, którym uniemożliwiają ćwiczenia gimnastyczne, wycieczki, pochody, zabawy, odmawiają sal na zebrania. Mimo to wszystko ilość członków stale wzrasta.

W każdej organizacji, bez względu na jej charakter, wysuwa się na czoło wszystkich zadań bronienie się przed Niemcami. To nam tłumaczy wiele specyficznych cech poznańskiego życia. Poznański ruch wydawniczy koncentruje się niemal całkowicie

w księgarni nakładowej S-go Wojciecha. Sam przegląd katalogu tej księgarni narzuca wprost uwadze naszej zasadniczą osobliwość lokalnych stosunków. Oto pomiędzy autorami dzieł wydawanych niezmiernie rzadko zdarzy się napotkać człowieka świeckiego. O wszystkim piszą nieomal sami księża. Kwestje ekonomiczne, społeczne, oświatowe, literackie, zagadnienia chwili bieżącej roztrząsane są przez autorów duchownych — zawsze też naturalnie z punktu widzenia religji i Kościoła. Toż samo dzieje się i na innych polach: żadnej sprawy w Poznańskim nie można załatwić bez księży. We wszystkich stowarzyszeniach i instytucjach oni grają rolę czynną, w ich ręku jest inicjatywa, zwierzchnictwo i kierunek. Na zapytanie, czemu tak się dzieje, otrzymuje się wszędzie tę samą odpowiedź: — Ludzie świeccy, pochłonięci wyłącznie pracą zawodową, interesami materjalnymi, nie mają ani czasu, ani ochoty poświęcać się sprawom publicznym i bardzo są radzi, że księża ich w tym wyręczają. Dodać należy, że dorabianie się majątku uznane tam zostało — na tle ekonomicznego współzawodnictwa z Niemcami — za obowiązek patryjotyzmu, za zasługę narodową pierwszorzędnego znaczenia. Sprawa gromadzenia grosza pochłania więc nieomal wyłącznie siły i czas społeczeństwa świeckiego.

To wyjaśnia nam zarazem bujny rozkwit i doniosłą rolę instytucji Spółek Zarobkowych, a zarazem ich ustrój i charakter. Bank Związku Spółek Zarobkowych jest bardzo poważną instytucją finansową. Obrót jego wynosi blizko pół miljarda marek. W skład Związku wchodzi jednak tylko 165 spółek. Nie wszystkie spółki należą do Związku. Najliczniej są rozsiane spółki związkowe w Poznańskim. Na Śląsku jest ich niewiele.

Niemieckich stowarzyszeń tego rodzaju jest 4 razy więcej niż polskich, lecz obracają znacznie mniejszymi funduszami, bo gdy polskie miały 48 miljonów udziałów członków, niemieckie tylko 20.

Tłumaczy się to tym, że polskie spółki, popierane ze względów idejowych przez całą ludność polską, koncentrują w sobie oszczędności nieomal wszystkich warstw społecznych, gdy niemieckie są tylko instytucjami lokalnymi drobnego kredytu. Taki np Bank ludowy w Mogilnie ma przeszło 1 miljon depozytów, a 2 miljony w wekslach.

Spółki Zarobkowe są to przeważnie banki ludowe na użytek drobnomieszczaństwa. Włościaństwo ma własne spółki, t. zw. Rolniki. Rzemieślnicy mają spółek bardzo mało.

Uderza brak spółek spożywczych, t. zw. konsumów. Próby czynione w tym kierunku nie udawały się bądź to z braku fachowych sił kierowniczych, bądź też skutkiem niechęci drobnego kupiectwa polskiego, które w nich widziało wrogą konkurencję. Kończyło się zwykle tym, że prywatny kupiec kupował sklep spółkowy i własny handel prowadził. Przyjęto też obecnie za zasadę tam tylko zakładać „konsumy", gdzie one mogą utorować drogę dla osiedlenia się kupca polskiego, w myśl poglądu, że wzrost prywatnych majątków polskich jest jednoznaczny z korzyścią społeczeństwa polskiego.

Drugą połowę swego odczytu poświęcił prelegient krytycznemu rozpatrywaniu programu świeżo zawiązanego Polskiego Towarzystwa Demokratycznego—jako organizacji, którą można uważać za względnie najwięcej idejowo zbliżoną do naszego stronnictwa. Polskie Towarzystwo Demokratyczne zostało przeważnie przez prasę warszawską niesprawiedliwie ocenione, ale tłumaczy się to zbyt małą znajomością dla warunków miejscowych, wśród których powstało. Jasną jest rzeczą, że o szczerze i jawnie postępowej partji w Poznańskim dziś jeszcze mowy być nie może wobec opanowania wszystkich dziedzin życia publicznego przez duchowieństwo. Gdy się jednak uwzględni warunki, trzeba przyznać, że P. T. D. zapowiada znaczny krok naprzód w kierunku demokratyzacji a nawet postępu. Obejmuje ono zresztą zespół grup o dość rozlicznych poglądach politycznych i społecznych, mieści się w nim bowiem dotąd to wszystko, co odchyla się na lewo od jedynie dotąd dominującego stronnictwa konserwatywno-ugodowego. Zatym żywioły, które u nas rozdzieliłyby się między narodową demokrację, postępową demokrację i ludowców, tam tymczasem połączyły się we wspólnej organizacji P. T. D. — by się ugodowcom i konserwatystom przeciwstawić. Na czoło programu musiały one wysunąć sprawę obrony narodowości, gdyż to czynić musi w Poznańskim każda organizacja polityczna. Organami P. T. D. są *Kurjer Poznański*, *Orędownik* i *Postęp*.

Zasada demokratyczna polega na tym, by, w razie konfliktu między interesami różnych warstw, uznawać za rozstrzygający interes ludu — przyczym nie określono dokładnie, kogo się do ludu zalicza.

Podstawą akcji politycznej dla P. T. D. jest wszechstronne wyzyskanie praw obywatelskich, bezwzględna obrona tych praw i współdziałanie z tymi stronnictwami niemieckimi, które do ich rozszerzenia dążą.

W polityce poznańskiej jest to nowością, gdyż dotychczas Koło Polskie unikało stosunków z lewicą niemiecką, — dało się wodzić na pasku centrum a nawet konserwatystom, jak np. przy ostatnim głosowaniu w sprawie reformy finansów.

Polskie Tow. Demokratyczne żąda w izbach prawodawczych polityki wolnej ręki, lecz zarazem kierowania się w sojuszach interesem społeczeństwa polskiego i liczenia się z opinją publiczną a zaniechania dotychczasowej metody załatwiania wszelkich spraw politycznych na drodze prywatnych, samowolnie przez jednostki dokonywanych konszachtów z przedstawicielami stronnictw lub rządu.

Stosunek P. T. D. do duchowieństwa ujawnia zaledwie bardzo nieśmiałe dążności emancypacyjne. Mówiono o obronie katolicyzmu przed protestantyzmem, ale też o zwalczaniu giermanizacji przez Kościół. Przewagę kleru w życiu publicznym uważa P. T. D. jako zjawisko szkodliwe, zastrzega się jednak, że na zasadzie równości współdziałanie jego w pracy obywatelskiej uznaje za pożądane. Tylko w porównaniu z istniejącym stanem rzeczy zrozumieć można, iż to stanowisko jest względnie postępowe. Większą nowością zaś jest to, że w łonie zarządu towarzystwa żadnego niema księdza. Przez ten fakt P. T. D. staje się wprost unikatem na gruncie poznańskim.

Braknie w programie P. T. D. jawnie stwierdzonego dążenia do usamodzielnienia warstw ludowych, co jest sprawą pilną, lecz mało popularną w Poznańskim. W spółkach np. rolę kierowniczą grają niemal wyłącznie księża z małą przymieszką obywateli ziemskich i inteligiencji zawodowej. Zapędy do samodzielności nie mogą jeszcze osiągnąć poważnego rezultatu.

Jakkolwiek obecnie jeszcze dzielą nas z P. T. D. bardzo znaczne różnice programowe, prelegient nie wątpi, że dalszy rozwój wywoła dokładniejsze zróżniczkowanie się, a wtedy wyodrębnią się tam elementy, które organizację popchną w kierunku postępowym i zbliżą do nas. Nastąpi to zwłaszcza wtedy, gdy P. T. D. przystąpi do opracowania programu społecznego, którego dotąd nie posiada.

Bardzo zajmujący i pełen treści referat p. Waydla wywołał dyskusję, mającą wyłącznie na celu uzupełnienie przez prelegienta podanych w nim informacji. Wyłoniły się stąd wyjaśnienia o sferze wpływów P. T. D., które ma poparcie głównie w miastach, o jego organizacji, o stosunku do sprawy żydowskiej i rusińskiej, w czym różnice z postępowcami polskimi innych dzielnic silnie się zaznaczają, i t. p. Osobny referat obiecał pan W. poświęcić w najbliższej przy-

szłości polityce Polaków w sprawie reformy finansowej w Niemczech.

W dyskusji brali udział p. Lemański, Łypacewicz, Moszczeńska i inni.

Ankieta w kwestji „litwackiej".

Od dwuch miesięcy porusza u nas opinję publiczną kwestja litwacka. Powstała ona już znacznie dawniej; źródłem jej jest liczny napływ żydów rosyjskich do Królestwa Polskiego, ich wzmagający się wpływ nietylko na masy żydów miejscowych lecz i na inteligiencję polsko-żydowską, której stosunek do społeczeństwa polskiego, zwłaszcza do jego grup postępowych, ułożył się był w sposób bardzo pomyślny. Kwestja żydowska — która już przedstawiała się mniejwięcej jasno, doznała nowych komplikacji i zaostrzyła się w sposób niepokojący. Hasła braterskiego współżycia z *dziećmi jednej ziemi* stawały się bezsilne wobec wpływu *dzieci innej ziemi*, które nie okazywały ani zrozumienia, ani też nawet nieraz chęci wniknięcia w uczucia, potrzeby i dążenia tej ludności, w pośród której przeznaczenie żyć ich zmusiło.

Pod wrażeniem nieprzyjaznej a czasem wyzywającej postawy przybyszów antysemityzm ogarniać zaczął już i te grupy społeczeństwa polskiego, do których dotąd żadnego nie miał przystępu, a które, może zbyt pośpiesznie uogólniając wnioski, kierowały swój naturalny zresztą odruch niechęci do ogółu Żydów.

Wyodrębnienie kwestji litwackiej jako poszczególnego zagadnienia, wchodzącego w skład dość skomplikowanej i bez tego kwestji żydowskiej, stanowi już pewien krok naprzód w uświadomieniu społecznym — samo przez się jednak nie rozjaśnia sprawy dostatecznie. Świadczy o tym najlepiej przebieg dyskusji w prasie, wywołanej przez artykuły pism żargonowych z racji przyjazdu Czechów, artykułów, które stanowiły punkt wyjścia dla omawiania kwestji litwackiej. Gdy już cała nieomal prasa polska dała wyraz swemu oburzeniu, pojawiły się wyjaśnienia, że wynikiem zatargu było błędne tłumaczenie tych artykułów, których nikt w oryginale nie czytał.

Faktem jest, że nietylko społeczeństwo polskie lecz znaczna większość miejscowej inteligiencji żydowskiej nie czytuje prasy żargonowej, nie rozumie jej, że istotny kierunek tych wielce rozpowszechnionych pism jest nam nieznany, że o dążeniach litwaków sądzimy przeważnie na podstawie faktów — nieraz bardzo jaskrawych i drażniących — lecz bądź co bądź luźnych i konstatowanych dorywczo. Stąd słusznie narzuca się wniosek, że zajęcie stanowiska wobec kwestji litwackiej wymaga głębszego jej zbadania, a — jeżeli z tej strony grozi nam rzeczywiste niebezpieczeństwo, tylko dokładne poznanie jego źródła, charakteru i rozmiarów może wskazać właściwe i celowe środki obrony. Pewne grono Żydów zapoczątkowało szereg wywiadów wśród wpływowych pisarzy polskich dla wybadania ich stanowiska w kwestji litwackiej. Materjał zebrany tą drogą może tylko dać miarę nastroju panującego w społeczeństwie polskim względem danej sprawy, lecz bynajmniej nie rozjaśnia faktycznego stanu rzeczy.

Dlatego też Polskie Zjednoczenie Postępowe postanowiło drogą ankiety zebrać obszerniejszy materjał dotyczący kwestji litwackiej, by dopiero na tej podstawie oprzeć gruntownie uzasadnione stanowisko stronnictwa.

R. P.

Równouprawnienie kobiet w Galicji.

W połowie października odbył się we Lwowie wiec w sprawie praw wyborczych dla kobiet pod przewodnictwem rektora politechniki, profesora Pawlewskiego. Wiec zagaiła panna Marja Dulębianka zaznaczając, że ma on na celu głównie wypowiedzenie się mężczyzn reprezentujących stronnictwa polityczne, które żądania kobiet popierają. W pierwszym rzędzie wyszczególniła stronnictwo ludowe jako jedyne, które istotnie żąda praw równych i powszechnych bez ustanawiania specjalnego dla kobiet cenzusu i zakończyła wezwaniem do innych stronnictw, by zajęły to samo stanowisko.

Z dyskusji wykazało się, że prócz ludowców i ukraińcy oświadczyli się za zupełnym równouprawnieniem kobiet; stronnictwo demokratyczne i narodowo-katolickie popierają ich żądania czynnego i biernego prawa wyborczego, lecz nie zastrzegały się przeciw cenzusowym ograniczeniom.

Przewodniczący wyraził przekonanie — któremu zresztą nikt z uczestników nie przeczył — że w tej kadencji jeszcze sprawa reformy wyborczej do Sejmu rozstrzygniętą nie zostanie, oraz, że wielu posłów wprawdzie poprze żądanie kobiet, lecz trudno przesądzać, czy ono przy głosowaniu przejdzie.

P. Laskownicki zaś był zdania, że choć dla równouprawnienia kobiet w Sejmie widoki nie są zbyt pocieszające, w radzie miejskiej sprawa przedstawia się znacznie korzystniej i można liczyć, iż w tej jeszcze kadencji reforma dokonaną zostanie i około 8-miu mandatów zdobędą kobiety.

Na początek i to byłoby ogromnym zwycięstwem, które otworzyłoby kobietom, pole wielce doniosłej działalności społecznej.

Wyrok w srawie sędziów.

Sprawa sądowników gminnych z Płockiego była w dniu 22 b. m. rozpatrywana w apelacji przez Izbę Sądową Warszawską. Po wysłuchaniu świetnych przemówień obrońców: Wróblewskiego, Pepłowskiego, Nowodworskiego, Lemańskiego i Dziewulskiego, którzy wykazywali, że okoliczności towarzyszące wprowadzeniu języka polskiego w sądach gminnych związane były z ogólnym ówczesnym prądem i dzisiaj nie mogą być mierzone zwykłą miarą codziennych stosunków. Izba wydała wyrok skazujący uczestników:—uprzywilejowanych cenzusem naukowym lub pochodzących ze szlachty na pozbawienie praw służbowych; pozostałych zaś — przeważnie ławników — na cztery miesiące więzienia. Od wyroku tego skazani zakładają kasację.

BADANIA NAUKOWE.

Na początku ery naszej.

(Ciąg dalszy).

II. Na tle takiego to stanu rzeczy potomkowie Arystotelesa i Lukrecjusza przedewszystkim poczęli dociekać, jaki stosunek zachodzi pomiędzy Jezusem, owym mężem za Mesjasza uznanym przez garstkę Żydów, a za Syna zaś Jehowy — przez ogół wierzących w niego, a samym Jehową, jako ojcem. To dociekanie rozpoczęło się wkrótce po poznaniu się ze Świętą Księgą Żydowską i przybrało wyraźne znamiona zaciekłego sporu. Jednostronna dążność w większości

wierzących do uważania Jezusa za Słowo, czy też Syna Jehowy, poczęła jednakże wzbudzać w niektórych śmielszych umysłach obawę o podkopywanie zasad *jednobóstwa* (monoteizmu), czym się szczycił judaizm i początkowy chrystjanizm wobec *wielobóstwa* (politeizmu). Monoteizm wówczas ustąpiłby miejsca *dwubóstwu* (diteizmowi) i stanąłby na drodze do politeizmu prowadzącej. Właśnie ta obawa diteizmu wywoływała rozmaite tłumaczenia stosunku Jezusa do Jehowy, dotychczas za jedynego Boga poczytywanego.

Obawiający się, żeby przez przyznanie Jezusowi nieograniczonego bóstwa, bądź to w istocie samej, bądź też w czasie, to jest — bez początku i końca, oraz zupełnej niezależności od Jehowy, nie był zachwiany w swych podstawach monoteizm, poczęli utrzymywać, że przez wyraz syn nie należy pojmować odrębności osobistej, lecz przejaw *sił*, *właściwości* lub nawet *sposobu* (modus) działania Jehowy. Stąd powstała jedna z wielu ich nazw: *modaliści*, uogólniająca wszystkie następne.

Zgodni w zasadniczym pojmowaniu stosunku Jezusa, jako Syna, do Jehowy, jako Ojca, różnili się pomiędzy sobą w przedstawieniu sposobów, w jakich Jehowa objawiał się ludziom w Jezusie. Powstały więc dwie partje: *Patripassjanie* (od wyrazów łacińskich: *pater* — ojciec, i *patior*, *pati* — cierpieć, znosić) i *Monarchjanie* (od wyrazów greckich: *monos* — jeden i *arche* — władza).

Pierwsi, *Patripassjanie*, w celu podniesienia osoby Jezusa uważali go za promieniowanie Jehowy, zaprzeczali więc wszelkiej różnicy pomiędzy jednym a drugim, zlewali obie w jednej osobie w taki sposób, że to Jehowa w postaci Jezusa cierpiał i był ukrzyżowany. Cierpiał więc nie syn, tylko ojciec. Skąd i nazwa partji.

Drudzy, *Monarchjanie*, również jak i pierwsi gorliwi obrońcy monoteizmu zagrożonego, utrzymywali, że Jezus był tylko człowiekiem, zrodzonym w sposób nadnaturalny z dziewicy za sprawą Ducha Świętego; najświętszy, największy i najcnotliwszy ze wszystkich proroków, wszakże tylko — człowiek.

Dość długi szereg pierwszych kończy Sabellius (um. 261), który ich naukę ujął w pewny systemat. Według niego Jezus był jednym z trzech sposobów pokazywania się istoty (substancji) bóstwa, jedną z nazw oznaczających jedną i tę samą istotę, jednym z trzech obrazów, pod jakimi poznajemy Jehowę, który w czasie pod trzema różnymi postaciami światu się okazywał: jako ojciec — ten świat stwarzając i urządzając przez Zakon dany na Synai; jako syn — wcielając się w Jezusa i jak Duch Święty — ożywiając i kierując wierzących.

Nie mniej długi szereg drugich zamyka Paweł z Samosaty, od 260 r. biskup antjocheński. Nie przyznawał on natury boskiej Jezusowi. W nim widział tylko człowieka zwyczajnego, chociaż nieskończenie wyższego od proroków i nawet samego Mojżesza. Tę taką wyższość upatrywał w tym, że *Słowo* wieczne czyli *Mądrość* boska przebywała w Jezusie jako zasada czynna. Mógł on przeto nazywać siebie synem bożym, ale nie istniał przed swoim narodzeniem, ani też nie posiadał istoty boskiej w sobie. To *Słowo* zaś, które w nim przebywało, nie było istotą, substancją boską, ale raczej właściwością, przymiotem boskim.

Monarchjanie podstaw tych swych twierdzeń szukali i znajdowali w tejże samej Księdze Świętej, na której się opierali i ich przeciwnicy.

Spory te, choć gorące i groźne, z natury rzeczy pozostawać musiały tylko w granicach rozpraw. Synody odrzucały naukę niezgodną z interesami powstającej hierarchji kapłańskiej, nie podtrzymującą wciąż rosnących jej wpływów. Wywyższanie bowiem osoby Jezusa wywyższało i tych, którzy się mieli sami i podawali za dziedziczących prawa bezpośrednich uczniów Jezusa, za tych, do których Jezus, przemawiając do swoich uczniów, i do nich przemawiał. Lecz rezultaty odrzucania pozostawały bezsilnymi w praktyce. Władza państwowa, w zasadzie wroga chrześcijanom, w sporach ich pozostaje obojętnym widzem, stroną neutralną.

Tak było do końca III stulecia.

Inaczej się już przedstawiają rzeczy na początku IV-go.

III. Rządy mogą się tylko opierać na większości w danym państwie. Większość ta może być rzeczywistą, może być też sztucznie wytworzoną, ale zawsze musi być większością.

Na początku wieku IV wierzący w Jehowę i jego syna stanowili w państwie rzymskim tak poważną ilość, że na wytępienie jej prawami wyjątkowymi liczyć już było trudno. Polityka państwowa tępiła ich ale zarazem i wytwarzała. Potrzeba było godzić się z faktem tym i w tępionych szukać podpory w dalszym istnieniu państwa.

Otóż w miesiącu czerwcu 313 r. z Medjolanu, miejsca chwilowego pobytu dwuch panujących (Augustów) w państwie rzymskim, do rządców prowincji rzymskich, obejmujących podówczas cały świat dziejowy, wyszedł następny rozkaz (edykt).

„My, Konstantyn i Licinjusz, Augustowie, gdyśmy się szczęśliwie zebrali w Medjolanie w celu rozpatrzenia wszystkich spraw, tyczących się pomyślności i korzyści Rzeczypospolitej, to zauważyliśmy, że pomiędzy sprawami, którymi zająć się mamy, żadna nie będzie bardziej pożyteczną dla naszych narodów, jak ta, której przedmiot stanowi oddawanie czci bóstwu. Postanowiliśmy więc dozwolić chrześcijanom i wszystkim innym swobodnie praktykować religję, którą oni wybierają, a to dla tego, żeby to bóstwo, które przebywa w niebie, nam, oraz wszystkim, którzy żyją pod naszą władzą, mogło odtąd sprzyjać. Sądzimy bowiem, że to jest rzeczą dobrą i rozumną nie odmawiać nikomu, czy to chrześcijaninowi, czy też należącemu do innego jakiego kultu, prawa wyznawania religji, jaką sobie wybiera" .. [1])

Tak na początku IV wieku do wykonawców swej woli i zamiarów przemówili dwaj Augustowie rzymscy, władcy świata.

Z nich dwuch właściwym twórcą edyktu był Konstantyn. On począł siebie nazywać już chrześcijaninem, a nawet — biskupem chrześcijańskim do spraw zewnętrznych, przedstawicielem chrześcijaństwa nazewnątrz. [2]) I chociaż ten edykt zapewniał chrześcijanom, to jest ulegalizowanym już wyznawcom Jezusa, zupełną swobodę wierzenia i odbywania z tego wierzenia wypływających praktyk, lecz, jak to następnie się okazało, ta swoboda zapewniona była tym tylko chrześcijanom, na których czele stanął władca świata z mieczem w dłoni, których naukę on nad inne przenosił, a praktyki używał. Nad sprawami, których początek poznaliśmy, zawisł miecz. Miecz je rozcinał. A biada była tym, którzy rozcięcie tego miecza za nadużycie ośmielali się poczytywać. Więzienie i śmierć nie tak wierzących jak władza—o prawdziwości wiary

---

[1]) Ten ważny w dziejach wszechświata dokument przechował się tylko w dziełach dwuch pisarzy chrześcijańskich:

Pierwszy, znany autor „Historji Kościelnej" Euzebjusz Cezaryjski, (265 — 340) mieści go właśnie w tej „Historji" (Hist. Eccles. X. 5).

Drugi — Lactanciusz, współczeŝnik tamtego (zm. około 330) w dziele p. t. „De mortibus persecutorum", 38.

[2]) „Kiedy razu pewnego przyjmował u siebie biskupów w gościnie, wyrzekł w mojej obecności, że i on sam jest biskupem, tymi dowodząc słowy, wy wszyscy, mówił, jesteście biskupami w tych sprawach, które się wewnątrz kościoła odbywają. Ja zaś w tych, które się zewnątrz odbywają, przez Boga jestem naznaczony". (Eusebii Caesariensis: De vita Constantini, Lib IV, c. XXIV).

władcy świadczyć poczęły. Władcy więc z natury rzeczy poczynają zwoływać sobory. Z polecenia zaś soborów poczynają spadać głowy odcięte od ciała, lub na stosie płonąć całe ciała.

Spór o osobę Jezusa nie był wcale zakończony, a właściwie rzec można, zalewie był szczegółowo rozpoczęty. Czy Jezus był synem bożym, równym mu w istocie i wiecznym, jak ojciec, to jest drugim Bogiem, jak tego chciała tradycja a zwłaszcza rosnący kult jego; czy dopiero zrodzonym w czasie i, choć obdarzony niektórymi właściwościami ojca, ale różny od ojca, jak człowiek różnym bywa od Boga, jak to utrzymywali obrońcy monoteizmu pod naporem diteizmu, monarchjanie; czy był tylko czasowym urzeczywistnieniem, niby uwidocznieniem Boga w postaci człowieka, jak uczyli Patripassjanie i Sabelljusz: czy Jezus był wcieleniem słowa bożego, jak dowodził autor IV Ewangielji, na te wszystkie pytania stanowcza odpowiedź jeszcze nie została do początków IV wieku sformułowana.

Rozwiązanie atoli tych zagadnień stawało się z dnia na dzień, w miarę rozprzestrzeniania się chrystjanizmu i jego potężnienia, sprawą gorącą i nieodwołalną. Od rozwiązania ich w tym lub owym duchu i kierunku nietylko już zależał dalszy kult Jezusa, ale i dalsze losy wciąż potężniejącej hierarchji kościelnej i dziejowe jej stanowisko, jej wzrastanie lub malenie; nakoniec—zapanowanie jej niepodzielne nad wszystkim na świecie lub zupełne jej zniknięcie.

Biskup u podnóża tronu górował w istocie rzeczy nad tym, kto na nim się rozsiadał. Wszak to on namaszczał go oliwą, jak to przed wiekami Jehowa rozkazał był Samuelowi, by dokonał tego obrzędu to nad Saulem, to nad Dawidem.

Przez tron i siedzącego na nim stawała się ta hierarchja potęgą wszechświatową; ale należało jej poprzednio zgnieść swoich przeciwników. Samo istnienie ich już podkopywało podstawy jej wielkości, a nawet bytu. Stąd wypływała pozorna żywotność podejmowanych sporów, stąd nadawana im, stosownie do okoliczności, powaga i powszechne, ogólnie-ludzkie, a nawet nadludzkie znaczenie.

Jeśli zrozumieli kapłani, co im może przynieść oparcie się o tron, a nawet, choć w niewidzialnej postaci, wzniesienie się po nad tron, to też i goszczący na nim łatwo przedstawić sobie mogli korzyści, jakie im gotują następcy tych, do których, według podania, kiedyś Jezus był wyrzekł: „cokolwiekbyście związali na ziemi, będzie związane i w niebiesiech; a cobyście rozwiązali na ziemi, będzie rozwiązane i w niebiesiech"; jaką moc im zapewniają ci, którzy mieli możność i prawo powtarzania słów Pawła: „nie masz zwierzchności, tylko od Boga, a te które są, od Boga są postanowione".

Bezpośrednim następstwem edyktu Medjolańskiego był zwołany przez Konstantyna Sobór do Nicei w 325 r.

To, co dotychczas o Jezusie utrzymywali z jednej strony opierający się na tradycjach, chociaż to prowadziło widocznie do diteizmu, a z drugiej, gorliwi obrońcy monoteizmu, instynktowni diteizmu wrogowie, czy też tylko do niego uprzedzeni, w przededniu stanowczej bitwy na owym Soborze zostało streszczone w sprzecznym sobie nauczaniu o Jezusie dwuch mężów.

Aleksander, biskup aleksandryjski, utrzymywał, że syn, łącząc z pojęciem tym pojęcie słowa, jest współwieczny z ojcem. Jeśliby *słowo* (logos) miało mieć początek, wypływałoby z tego, że był czas, w którym ojciem był *a logos* (przypomnijmy sobie, że logos w filozofji Filona zastąpiło pojęcie Mądrości, więc: bez mądrości). Jedyną różnicę, na którą się zgadzał, że istnieje między Jehową a Jezusem, miała być tylko ta, że ojciec nie był zrodzony, syn zaś zrodzonym być musiał.

Arjusz, z pochodzenia afrykańczyk, kapłan też z Aleksandrji, uczył, że Bóg jest jeden, ojciec, niezrodzony i wieczny. Syn wiecznym być nie może, gdyż począł istnieć. Był bowiem czas, w którym go nie było. Jest to prawda, że syn poprzedzał czas, to jest, że już istniał, kiedy świat był stworzony i kiedy, wraz ze stworzeniem świata, czas się rozpoczął. Pomimo to nie jest on wiecznym, ponieważ nie istniał przed tym, nim został stworzony. Więc ojciec nie był zawsze ojcem. Stał się nim wtedy, kiedy spłodził syna. Takie to są zasadnicze twierdzenia Arjusza.

Dalej idą te, które z tamtych wypływają: syn, który nie jest wieczny, nie jest zrodzony z istoty ojca, będącej wieczną. On wyciągnięty jest z niczego, jak i wszystko, co stworzone wolną i wszechmocną wolą ojca. Tak więc syn, upatrywany przez chrześcijan w Jezusie, nie jest prawdziwym Bogiem, ponieważ nie posiada właściwości boskich: wszechwiedzy, wszechwładnej dobroci, niezmienności. Zresztą ojciec jest niepojęty dla syna, jak i dla wszystkich stworzeń. To, co poczęło istnieć, nie może pojąć tego, co nigdy nie miało początku. Przytym, nie ze względu na siebie, lecz ze względu na nas, syn był stworzony. Jego istnienie jest związane z istnieniem innych stworzeń. Kiedy Bóg powziął zamiar stworzenia nas, stworzył naprzód istotę, którą nazwał *Słowem Mądrością*, ażeby nas ukształtować przez tę istotę i na podobieństwo tej istoty. Jeśliby Bóg nie miał zamiaru nas stworzyć, nie stwarzałby i Jezusa.

Ten syn nie jest niezmienny, ani też wieczny i wszechwiedzący. Nie ma również własności moralnych Boga. Nie jest też świętym, jak Bóg. Mógł pozostać dobrym, jakim był wyszedł z rąk Boga, gdyż był wolny zupełnie, lub się zwrócić ku złemu, jak djabeł. Ponieważ Bóg przewidział, że pozostanie na dobrej drodze, przyjął go za swego syna i już na początku udzielił mu chwały boskiej. Z przyrody swej nie posiada on nic boskiego. Chwała niebieska została mu użyczona drogą łaski, aktem wolnej woli Boga. Z woli mądrej Boga stał się on mądrością Boga mądrego, Słowem bożym. Jest w Bogu Mądrość i Słowo wieczne, przez które Bóg uczynił wszystko, co uczynił, nawet Syna, lecz które należy odróżniać od Syna..

Arjusz staje jako monarchjanin, jako następca idejowy Pawła z Samosaty, rozwijający i uzupełniający jego zasadnicze poglądy.

Biskup Aleksander był już zniedołężniałym starcem, niezdolnym do podjęcia walki z młodym, wymownym, zapalonym Arjuszem. Lecz miał przy swoim boku nie ustępującego temu w przymiotach potrzebnych do walki — Atanazego. Ten starcowi dostarczał pomysłów do wystąpień na piśmie, siły do przedsięwzięcia rozmaitych czynów.

Biskup zebrał Synod w Aleksandrji w 321 r. Ustępując mu, Synod potępił obwinionego Arjusza W odpowiedzi na ten wyrok, dwa inne — zebrane przez biskupów sprzyjających Arjuszowi, w Bitynji i w Palestynie, w wyrokach swych zażądały uniewinnienia jego. Rzecz doszła do Konstantyna Ten, lekceważąc przedmiot sporu, popisał listy do Aleksandra i Arjusza, nakłaniając ich do zgody, do wzajemnych ustępstw w kwestjach tak oderwanych i dla niewielkiej tylko liczby wyznawców Jezusa dostępnych. Oto mały wyjątek z nich: „Wróćcie mi, błagam, dusze spokojne i noce bez trosk. A ponieważ ja nie mogę was zmusić do myślenia jednakowo o kwestji, która nie zasługuje na tyle sporów — wstrzymajcie się przynajmniej od waszych kłótni wobec narodu, ażeby nie doprowadzać widokiem waszych waśni już to do bluźnierstwa, już — do rozłamu"... (Euzebjusz Cezaryjski: Historia Ecclesiastica, I. 7.)

Środek ten sporom nie zapobiegł, waśni nie uspokoił. Arjusz stanął osobiście przed Konstantynem. Ten się począł wahać, komu przyznać słuszność. Pragnąc zaś przedewszystkim uspokojenia,

zwołał ów Sobór rozstrzygający. Sam przedstawiał własną osobą władzę państwową. Zaszczyt ten zebrani opłacili swobodą rozpraw. Był to pierwszy Sobór w tych warunkach odbyty.

Rozpoczął się dnia 10 czerwca. Zebrało się na nim 315 biskupów ze Wschodu, 3 czy 4 z Zachodu: Hozjusz z Korduby został prezydentem.

(d. n.). *I. Radliński.*

LITERATURA i SZTUKA.

O dramacie Andrejewa.

(Dokończenie).

III

Kto w dramacie Andrejewowskim pragnąłby w - dzieć reminiscenje wielkiego dramatu dziejowego, jaki rozegrał się w ciągu lat ubiegłych, ten doznałby niemałego zawodu. „Car - Głód" bowiem, gdyby nawet nie rozgrywał się na podłożu zgoła symbolicznym, byłby z konieczności słabym odbiciem tych czasów.

Nie to jednak było celem trylogji Andrejewowskiej. („Car-Głód" jest pierwszą częścią zapowiedzianej przez Andrejewa trylogji). Poza celem społecznym: wyzwolenie się człowieka, jaki niewątpliwie nasunąć mu się musiał, Andrejew miał prawdopodobnie i inny cel, bardziej odległy i niemniej społeczny: wyzwolenie współczesnego teatru z pod przewagi efektów sztucznych, osłabiających jego oddziaływanie na masy zarówno kulturalne, jak niekulturalne i wypaczających jego istotne dążenie odtwarzania *rzeczywistości* — w ramach takich, któreby najbardziej do niej zbliżały. W tym celu pokusił się o stworzenie formy nowej, formy zgoła orvginalnej, przypominającej w szczegółach zaledwie istniejące wzory (najbardziej Maeterlincka , lecz będącej z gruntu pomysłem własnym i bezpośrednim.

Andrejewowska *mise-en scène* odgrywa w jego dramacie niemniej ważną rolę, aniżeli zawarta akcja, charakterystyka bohaterów, djalogi mimiczne i maska aktora. Dopiero zespół tych wszystkich koniecznych warunków, który ostatnio udało się jedynie uchwycić Stanisławskiemu przy wystawianiu „Życia człowieka", tworzy jego dramat. Na tym to właściwie *zespole* polega doniosła reforma współczesnego teatru. Uchwycenie na scenie zasadniczego nerwu życia zarówno w jego realnych, jak abstrakcyjnych przejawach, wydobycie na jaw najbardziej ukrytych właściwości duszy i instynktu, usunięcie intelektu z za kulis ponurej ludzkiej tragiedji, — oto jej cechy najbardziej znamienne. Dewizą — życie. Wszystko winno żyć i poruszać się.

Spójrzmy np. na takie wnętrze fabryki. (Obraz 1. Car-Głód wzywa do buntu robotników). *Usłyszymy* przedewszystkim łoskot rytmiczny pracujących maszyn i szmer tysiąca znajdujących się przy nich ludzi. A następnie ucho nasze pochwyci ciężkie jednostajne westchnienia kotłów parowych, pomruk i gwizd obracanych kół. Głuche i rzadkie uderzania młotów parowych wstrząsają ziemią, a na tle tych odgłosów odzywa się dźwięczny, rytmiczny stukot maleńkich młoteczków.—Różnorodne w swym dźwięku, zlewają się one już to w jeden potok ogólny — wartki i bełkotliwy, już to rozbiegają się pojedyńczo, słabną, kwilą żałośnie, aż w końcu rozpierzchają się, niby chmara śpiewających ptaków, napadniętych znagła przez jastrzębia.

Te narzędzia pracy wyrażają jej rytm. Są ożywione pracującą w mózgach myślą. A teraz tło.

Czerwone i ogniste piece hutnicze, wydobywające się z nich języki płomienia, — sztaby rozpalonego do białości żelaza, rozpryskujące mirjady iskier pod uderzeniami młotów, — czarne cienie snujących się ludzi. A dalej *wzrok* nawykły odróżniać w ciemności napotyka: — potworne sylwety wyłaniających się z mroku maszyn, — przypory ciężkie podobne do łap smoków mitycznych, — tułowie w kształcie cylindrów, niby amfibje lub chimery z rozpostartymi skrzydłami. Zaś ponad wszystkim unosi się: ciężar — spokój — mrok, — a zewsząd patrzą szeroko rozwarte, nieruchome źrenice.

Oto wnętrze adrejewowskie. Wrażenia wzrokowe kojarzą się tu bezpośrednio z wrażeniami słuchowymi, wytwarzając tło barwne i pełne ożywienia, dalekie od zwykłej scenicznej martwoty, przygniecionej balastem dekoracyjności. Dopiero na tle tej jedynej w swoim rodzaju symfonji fabrycznej wyłaniają się żale robotników — akcja zwarta i plastyczna. Wtóruje jej zaś trzykrotnym uderzeniem, niby modernistycznym oklaskiem, parowy młot, odgrywający w tej nawskroś nowożytnej tragiedji rolę starożytnego Fatum.

Przy charakteryzowaniu bohaterów, środowiska Andrejew posługuje się mniej więcej tą samą metodą, jakiej używa przy rysowaniu tła. Tęż samą drobiazgową analizę. którą stosuje do rzeczy pozornie martwych i pozbawionych życia, przykłada także do ludzi.

Oto obraz II. (Car-Głód wzywa do buntu motłoch uliczny). Noc. Coś nakształt czarnej, pnącej się do góry ściany. W dole suteryna, widoczna w przekroju podłużnym, mająca formę spłaszczonego półowalu. Zebranych około dwudziestu. — Prostytutki, sutenerzy, złodzieje kieszonkowi, rabusie, mordercy, żebracy. Wszystko najokropniejsze, co może dać nędza, występek, zbrodnia i ciągły, nienasycony głód moralny. Prawie zupełny zanik czoła, potworne rozrośnięcie czaszki, szerokie szczęki, coś bydlęcego w ruchach, chodzie. Brzydota ustawiczna odpychająca swym wstrętem od siebie. Odziani brudno i fantastycznie. Jedynie sutenerzy chełpią się garniturami, skrojonymi z przesadną małomieszczańską galanterją, pstrymi krawatami i przedziałami na głowach mikrocefalów. Niektóre twarze śniade, ogorzałe, inne znów czerwone, koloru buraczkowego. Jest także kilka takich złowrogich postaci, którym bladość śmiertelna wyziera z lic, a policzki barwią się ceglastym rumieńcem.

Tych „sankiulutów" odczuwa się, widzi niemal. To nie „utopja, która zrzekła się skrzydeł i schodzi na ziemię," jak mówi Emil Vaerharene w swych „Jutrzniach", to ludzie żywi, realni. Nie melodramatyczni chuligani, podpatrzeni przez dziurkę od klucza tego lub owego światopoglądu, lecz zbrodniarze istotni, pozbawieni wszelkich więzów etycznych.

Podobno Maeterlinck nazwał swój teatr „teatrem marjonetek." Gdybyśmy nawet byli skłonni dojrzeć coś w dramacie Andrejewa z maeterlinck'owskich koncepcji dramatycznych — to jeszcze wówczas dramat jego nie wydałby się nam teatrem marjonetek. Mogłaby to być jakaś gienjalna karykatura, głęboka w swym tragizmie, jakiś karkołomny karuzel, odrodzony na formach dramatu maeterlinck'owskiego,— nigdy zaś dramat Maeterlinck'a. Zewnętrzne linje „Życia Człowieka" każą do pewnego stopnia szukać wzorów jego budowy u autora „Ślepców" i „Intruza". Już jednak w „Sawwie" daremniebyśmy szukali tych wpływów. Natomiast w „Carze-Głodzie", (lub też, jak wolą niektórzy, w „Głodzie-Mocarzu", chociaż tytuł ten mocno przypomina ekonomiczną broszurkę Bacha), Andrejew z pod form tych wyemancypował się zupełnie. Linje architektoniczne jego dramatu wznoszone są z samodzielnością budzącą podziw, zależność jakakolwiek znika. Występuje natomiast bijąca w oczy indywidualność, wzorująca się przede-

wszystkim na sobie samej, na własnych pomysłach i przeżyciach psychologicznych. I gdyby nawet w pracy Andrejewa nie uwzględniać jej społecznej wartości, to jeszcze trudnoby było nie widzieć jej olbrzymiego znaczenia dla teatru zreformowanego, teatru przyszłości, jaki niewątpliwie kiedyś przyjść musi.

Bolesław Podlewski.

Ostatnia książka Krzywickiego.

Prowadząc niezmordowanie studja swoje antropologiczno-etnograficzne, wyjeżdżając w tym celu co rok na Żmudź, skąd wraca z poważną naukową zdobyczą, — musi Krzywicki dla wytchnienia niekiedy poszybować myślą w inne dziedziny. Nęcą go łąki i otchłanie bytu teraźniejszego. Zapuszcza w nie chciwy, bystry wzrok i — powstają stąd plony wczasów: niedawno, dekalog wskazań etycznych (Sic ire ad virtutem), obecnie — zbiór szkiców, objętych jednym ogólnym tytułem „W otchłani", a poświęconych rozpatrzeniu wpływów życia współczesnego na działalność naszą naukową i artystyczną.

Bożyszczem świata dziś pieniądz. „Etyka zeszła na ordynarną buchalterję geszeftu, na hymny samolubstwa i apetytów wilczych" — czytamy w książce Krzywickiego. Są ideologowie rozpasania moralnego, którzy zniszczyliby biblję tylko dlatego, że prawi o miłości bliźniego. Dźwignią pracy i dążeń społecznych stał się utylitaryzm. Na podłożu jego, w pogoni za zyskiem, wyrosły miasta — koszary, ta zmora pokoleń ostatnich, wysysająca z nich jaźń ludzką, zamieniająca je w numery, ścierki, suche szematy, bezduszne pionki na arenie zachłannych żądz użycia, które — pędząc jednych w paszczę złotego cielca, innym każą toczyć rydwan wybrańców i w automatyzmie roboczym — dzień po dniu, godzinę po godzinie — zatracać dech wolnej duszy.

Otchłań Krzywickiego to państwo kapitalizmu, na żołd którego przeszła prasa, nauka, sztuka i nieomal cała literatura współczesna. Mamy dziś fabryki wynalazków, odkryć, artykułów naukowych i publicystycznych, powieści, poematów wierszowanych—tak samo, jak fabryki kapeluszy, krawatów, obuwia. Chałupnictwo wdziera się w twórczą dziedzinę, jak wdarło się w przemysł. Reklamowany powieściopisarz, uczony, publicysta, malarz-artysta, nie mogąc nastarczyć zamówieniom, łowi konające z głodu młode talenty i każe im pracować dla siebie. Firmy jawne w rodzaju Bancrofta i setki najniebezpieczniejszych, bo ukrytych, najmują majsterków wiedzy, żeby z ich pomocą opanować ogrom materjałów, nagromadzonych przez pokolenia. Sekretarze i asystenci uczonych kapitalistów zapewniają im monopol w danej dziedzinie badań. Współzawodniczyć z nimi może tylko drugi taki fabrykant, rozporządzający równorzędnymi środkami pieniężnymi.

Człowiek dzisiejszy, pędząc przez życie, jak lokomotywa, całą prężnością nerwów swoich, wytwarza typ przedwcześnie starganych katorżników pracy, znużonych potępieńców, zdychających na bruku, jak stare, zbiedzone, dychawiczne szkapy. Obraz tych „mózgowców wieku kolejowego" („railway-brain", jak nazwali ich amerykanie), snuje się przez całą książkę Krzywickiego ponurą i smutną aż do obłędu nicią. Mózgowiec opanował życie. Ze zwyrodniałych jego upodobań rodzą się sekciarze samolubstwa, nie uznający innych nakazów, prócz głosu własnych żądz i łaknień. Mózgowiec, naga dusza, pan „od dreszczu piękna", zdobył berło pierwszeństwa w literaturze i sztuce, dając upusty chorobliwym instynktom, zabijając normalne pożądania, pędząc twórczość na bezdroża lubieżności, gdzie w obłędzie dzikich orgji zawodzą taniec bachiczny nienasycone głody półdziewic i fałszywe apetyty nastrojowców—niedomężczyzn.

Z mrocznych otchłani, skąd — zdawałoby się — niema wyjścia, prowadzi jednak Krzywicki, optymista przyszłości — w krainę łąk szmaragdowych.

Przyjdzie dzień... W prochu legną koszarowe ogniska kultury — więzienia ciała, ciemnice ducha. Nad jeziorami, wzdłuż płowych rzek powstaną miasta — wsie, miasta — ogrody. Praca utraci Kainowe piętno. Człowiek odzyska dumną niezależność praojców — koczowników. Wyzwolony z więzów warsztatu i bezdusznej specjalości, osiągnie możliwość wszechstronnego ćwiczenia każdej zdolności swojej. Instytuty naukowe centralne, prowadząc badania wymagające zrzeszenia wielu wysiłków, będą porządkowały materjał naukowy i układały inwentarz, dostępny dla keżdego tak samo, jak dziś zbiory rękopisów w muzeach. Znikną rzemieślnicy nauki. Mając materjał pod ręką, uczony będzie mógł dać szerokie ujście twórczym porywom umysłu swego.

Podróże dalekie, wykłady systematyczne w ciągu życia całego, zbory filozoficzne na wzór akademji ateńskich, muzea historyczne, gieograficzne, fizjologiczne—ogniska stałych, ściśle z sobą powiązanych objaśnień, wyrugują książkę, ten narkotyk kojących i zbolałych rozbitków. Słońce wiedzy z wierzchołków przedostanie się do najciemniejszego zaułka nizin. Znikną analfabeci prawd dostojnych. „Przestaniemy być jak zeschłe liście drzewa, które wiar, zerwawszy z macierzy, roznosi na wszystkie strony. W pogwarze bratnim, w spółsnuciu marzeń, w spółsplocie pracy zlejemy się w jednię z gronem kilkunastu, może paruset osób,—zlejemy się, ale w niczym nie uszczuplimy bogatej swej duszy".

Mirażem raju przyszłego (chwili jego nie określa autor nawet w przybliżeniu) kończy Krzywicki bolesną i pełną otuchy zarazem książkę swoją.

C. Walewska.

Józef Kotarbiński: **Pogrobowiec romantyzmu**. Rzecz o Stanisławie Wyspiańskim. Warszawa 1909 r. Wyd. „Kasy przezorności i pomocy warszawskich pomocników księgarskich".

Studjum p. Kotarbińskiego o Wyspiańskim jest jedną z najobszerniejszych prac, jakie się ukazały o tym poecie. Omawia dzieła z wszystkich zakresów sztuki, uprawianej przez Wyspiańskiego, usiłuje odnaleźć ideę każdego poszczególnego utworu, interesuje się jednak przedewszystkim stroną plastyczną dramatów. Zasługą jest p. Kotarbińskiego, że zwraca uwagę na jedyny w swoim rodzaju pomysł w literaturze dramatycznej, na scenę tańca pod muzykę Chochoła w 3-im akcie „Wesela".

Po „rozmowach literackich" Weyssenhoffa o Wyspiańskim — czyta się pracę p. Kotarbińskiego jako rzeczową rehabilitację poety w oczach społeczeństwa. Różnice kulturalnych odczuć poezji Wyspiańskiego rażąco przeciwne. Po stronie Kotarbińskiego stoi głośno i wymownie świadczący tryumf „Sędziów", którzy, zdaje się, powinniby przekonać Weyssenhoffa o ile się pomylił w swoich sądach.

Muszę zaznaczyć, że różnię się w niektórych zdaniach z p. Kotarbińskim. Różnice te wszakże istnieją w naturze rozumienia ideologicznej strony twórczości Wyspiańskiego. Uważam jednak, że w krótkim sprawozdaniu bez szkody dla pracy p. Kotarbińskiego przeciwstawienia takiego dokonać nie można A szkody książce p. K. wyrządzićbym nie chciał, gdyż myślę, iż zasługuje ze wszech miar na przeczytanie. Odkładam sobie tedy rzeczowe i analityczne zdanie sprawy z różnic w zapatrywaniach naszych do

rychłej chwili, kiedy ogłoszę osobne studjum o komentatorach Wyspiańskiego.

Interesującą jest biograficzna strona pracy p. K. Szczerość pisarska, którą dzisiaj rzadko spotkać można — kazała autorowi zacytować nawet obraźliwy dla niego list Wyspiańskiego. (str. 216). Krytyka p. K. w stosunku do złą wolą kierowanych enuncjacji „krytycznych" Weyssenhoffa — jest pełną podniosłego tonu, patosu i czci dla Wyspiańskiego, nawet wtedy, gdy autor nie zgadza się z ideowymi „majakami" poety.

Język czysty, obrazowy sprawia, że książka czyta się lekko i przyjemnie. Wydanie staranne.

Eustachy Czekalski.

TEATR MAŁY: **Nasza młodość**. Sztuka w 4-ch aktach Alfreda Capus'a.

Balzac, który w swej „Fizjologji małżeństwa" na czterystu z górą stronach rozwodzi się na temat środków ostrożności, jakie przedsięwziąć musi dbały o swój honor pan mąż, by uniknąć rogów, powinien był poświęcić jedno ze swych „rozmyślań" sprawie przedślubnych dzieci. Z niezrównaną przenikliwością roztrząsa on „dolę i niedolę małżeńską", zastanawia się nad rozmaitymi sposobami odsunięcia fatalnej a przecież nieuniknionej katastrofy, każe mężowi szukać sprzymierzeńców w osobach architekta, który buduje mu gniazdeczko rodzinne, tapicerów, którzy mu je meblują, stróżów i służby, która mu je strzeże, zapomina jednak, jak wielką usługę w decydującym momencie oddać mu może nagłe zjawienie się córeczki, z lat studenckich, o którą do tej chwili może się wcale nie troszczyć. Szczególniej gdy małżeństwo jest bezdzietne a żona zaczyna się śmiertelnie nudzić i może nawet w duszy obwinia swego małżonka za ten brak celu w jej życiu, pan mąż powinien zawczasu zrobić przegląd wspomnień z czasów młodości, obejrzeć się za jakimś jej echem, a w ten sposób nietylko uratuje swój honor męzki, ale także—przez wprowadzenie na scenę w odpowiedniej chwili nowej postaci, będzie mógł, o ile jest zręcznym, skierować na inne tory wezbrane uczucia swej pani, zająć jej myśl i przerwać pewien bieg wypadków, który zaczynał go już mocno niepokoić i niechybnie prowadził do rogów.

Balzac nie wyzyskał tego nadzwyczajnie szczęśliwego pomysłu i dopiero Capus zwrócił nań uwagę a na tym tle osnuł „Naszą młodość".

Pani Briant byłaby niechybnie przyprawiła rogi swemu mężowi; a nawet, jeśli mamy być sprawiedliwi, kara ta należała mu się słusznie, jest on bowiem ślamazarny, podlega we wszystkim swemu ojcu, staremu, upartemu mantyce, zatwardziałemu w głupich przesądach, pozwala swej żonie nudzić się bez chwili zapomnienia i z obawy przed ojcem nie chce jej ulegać nawet wtedy, gdy sam ma do tego ochotę. Z drugiej strony młody hrabia de Calourd posiada wszystkie konwencjonalne warunki, by móc się podobać młodej damie z prowincji: poprzedza go fama zawodowego uwodziciela, miał już osiemnaście pojedynków, umie bez grymasu niezadowolenia przegrywać w kasynie poważne sumy... czyż można bogaciej wyposażyć „kochanka" w cechy psychologiczne? I p. Briant byłaby mu się nie oparła napewno. Ale właśnie w tej chwili zjawia się nieoczekiwany sprzymierzeniec poważnie zagrożonego małżonka. Jest nim panna Łucja, nieprawa córka pana Briant. Odkrywa ona tajemnicę swego pochodzenia przed przyjacielem państwa Briant, no i rozumie się, przed widzem, który następnie przez trzy akty może się bawić śledzeniem w jaki sposób sekret panny Łucji wsiąka powolnie w świadomość grona zainteresowanych osób. Przyjaciel bowiem powierza go swej siostrze, ta znów dzieli się nim z panem Briant, syn biegnie po radę do ojca, a wreszcie, gdy i pani Briant dowiaduje się o wszystkim, widzimy, że tylko dobrotliwa Opatrzność mogła w równie dobroczynny sposób kierować losami śmiertelników, by wybawić ich z opresji. Pani Briant znajdzie w „tej małej" siłę potrzebną do złamania przewagi teścia i, słusznej broniąc sprawy przeciw zwietrzałym przesądom, zwycięży na wszystkich punktach: przekona męża, że obowiązkiem jego jest przyjąć pod swój dach odnalezioną córkę, natchnie go mocą przeciwstawienia się woli upartego starca, który protestuje przeciw takiemu zakończeniu sztuki, a przedewszystkim w walce tej zapomni o p. de Calourd i na ten raz przynajmniej rogi ominą p. Briant.

A wszystko to za sprawą Opatrzności, która nieznanymi chodzi drogami i nieznane czasem przyprowadza do nas córki.

Gdym „Naszą młodość" widział w Paryżu, gdzie sztuka staje się coraz bardziej czymś w rodzaju obojętnego libretta do mimiki, giestów i cieniowania gry, dodatkiem do wspaniałych dekoracji, zachwycających strojów i czarujących kombinacji postiche'ów, *przyglądałem* jej się z miernym zadowoleniem. Ale w Warszawie ma się jeszcze czasami ochotę *posłuchać* czegoś w teatrze, a banalna anekdota opowiedziana w płytki sposób, o osiemdziesiąt lat spóźnione uzupełnienie „rozmyślań eklektycznego filozofa nad małżeńską dolą i niedolą" — zainteresować może jedynie chyba w wykonaniu jakiejś Brandès lub Lucienne Guitry.

Z tego też powodu Teatr Mały całkiem niepotrzebnie wprowadził „Naszą młodość" do swego repertuaru. Młodzi artyści niczego się nie nauczą z podobnych ćwiczeń, a widz, którego zainteresowaćby tu mogło jedynie staranne wykonanie, nie znajdując go, widzi tylko całą banalność sztuki, konwencjonalność postaci i ubogość pierwiastków i niecierpliwi się już od początku drugiego aktu.

Z wykonawców jedna może tylko p. Łącka—Pawłowska stanęła „na wysokości zadania" (à part la robe des derniers actes et la coiffure), gdyż umiała ona uchwycić ton wytwornej prostoty i ten leciutki akcent samodzielności, którego Francuzka nie przesadza nawet wtedy, gdy się otwarcie buntuje. Za to p. Kuncewicz zbyt poważnie potraktował swą bladą rolę i grał ją z za dużym nakładem giestu i pozy, a p. Orliński tak się zżył z rolami staruszków, że i podczas sobotniej premjery zapominał ciągle o tym, że powinien był mieć niespełna czterdzieści lat. Pannę Szylling, która w „Naszej młodości" debiutowała po raz pierwszy, powitano kwiatami, ale musiał to być raczej dowód życzliwości, bo nie laur zasługi, gdyż grę jej można by dotąd określać zapomocą pięciu początkowych cyfr, którymi ocenia się postępy w nauce; p. Szylling ma przed sobą jeszcze długą drogę pracy, by się wielu rzeczy nauczyć i oduczyć od takich np. przyzwyczajeń, jak przytakiwanie sobie główką, ilekroć mówi, lub ma być wzruszoną.

Stefan Gacki.

Z PRASY.

Warszawski organ hiszpańskiej reakcji — *Dziennik Powszechny* — zebrał cały bukiet cytat, uszczkniętych na łamach wszystkich organów europejskiego klerykalizmu i rzucił go pod nogi sprawcom stracenia Ferrera z wyrazami czci i uznania za ten akt *sprawiedliwości.*

Czegóż to wszakże dowodzi, gdy *Köln. Volkszeitung* nazywa twórcę szkół wzorowych, krzewiciela idei humanitarnych, który działalność swą rozpoczął od agitacji przeciw walce byków — *wrogiem rodu ludzkiego*? Czegóż to dowodzi, gdy *Germania* wzywa wszystkich

dobrze t. j. klerykalnie myślących do zwalczania masońskiej potęgi, że *Figaro* lub *Gaulois* wołają „Niech żyje król katolicki!” a w końcu kameleonowy *Matin* stwierdza, że „Hiszpanja miała prawo stracić Ferrera”, — bo „każdy naród jest panem swych ustaw i ich stosowania”?

Nie potrzeba aż tylu cytat by wykazać, że obskuranci całego świata stanowią jedną rodzinę duchową i podają sobie ręce—gdy chodzi o gaszenie światła, o stłumienie prądów humanitarnych i wolnościowych.

Jeżeli ta rewja wszecheuropejskiej armji klerykalnej miała *Dzien. Powszechnemu* dodać wpływu i powagi, to chybiła celu. Fałsz, powtórzony przez pięćdziesiąte z kolei usta, nie przestanie być fałszem, występek, który znajdzie chwalców, nie stanie się przez to cnotą.

Zresztą sposób, w jaki wielbiciele „katolickiego króla” bronią swej sprawy, już sam przez się ją potępia.

Nikt nie przeczy, że Hiszpanja ma formalne prawo nadawać sobie ustawy, jakie uznaje za słuszne i stosować je wedle swego przekonania — zmieniać lub obalać. Mulej Hafid *miał również prawo* torturować El Rogbi'ego i rzucić go zwierzętom na pożarcie, gdyż prawa marokańskie temu się nie sprzeciwiały. Gdyby zaś którykolwiek z rządów obcych miał formalne prawo do interwencji, to ohydne okrucieństwo zostałoby udaremnione w porę — tak samo zresztą jak stracenie Ferrera.

Neron, zapalający żywe pochodnie w swych ogrodach, był równie w porządku z prawem, jak sobór konstancjeński wysyłający na stos Hussa. Chyba *Dziennik Powszechny* nie zaprzeczy, że legalność tutaj rozmija się ze sprawiedliwością, a prawa moralne, stojące ponad prawem formalnym, obowiązują i twórców i wykonawców kodeksu. Przed tym moralnym trybunałem zmieniają się role i sędziowie stają w charakterze oskarżonych.

Nikt cięższej potwarzy nie rzuca zresztą na obecną Hiszpanję—niż jej niefortunni obrońcy z klerykalnego obozu.

Przeczą oni oczywistej już dziś prawdzie, gdy mówią, że *Hiszpanja* straciła Ferrera. Nie był wcieleniem Hiszpanji ani minister Maura, ani sąd wojenny w Barcelonie. Obalając rząd, który się tego dopuścił — naród oczyścił się z zarzutu współuczestnictwa. Najwyższy władca wolnego kraju — „le peuple souverain” — wydał wyrok potępiający jej sprawców. Hiszpanja miała przedewszystkim prawo osądzić i ukarać sędziów i to też uczyniła. Ma również prawo zmienić ustawy, które podobne fakty umożliwiają — i to zapewne jeszcze uczyni.

Polemika w sprawie emigracji.

Od Redaktora *Gazety Świątecznej* p. T. Prószyńskiego otrzymaliśmy list następujący:

Szanowny Redaktorze!

W sprawozdaniu z narady nad założeniem towarzystwa emigracyjnego p. I. Moszczeńska w ostatnim n-rze *Prawdy* stara się zetrzeć w proch tych, którzy ośmielają się mieć odrębne w sprawie emigracji zdanie. Pani Moszczeńska wyrywa z mego przemówienia jakieś gołe wyrażenie i, nie przytaczając okoliczności, w jakich jedynie mogło być i było użyte, rzuca nim istotnie złe światło na moją skromną dotychczasową działalność społeczną.

Pragnąc wykazać, że, wbrew opinji zwolenników emigracji, pewne powstrzymanie jej jest możliwe, przytoczyłem, że udało mi się powstrzymać tego i owego od wysiedlenia się do Ameryki przez uczciwe uświadomienie go co do obowiązku, ciążącego zarówno na każdym z nas, Polaków, pozostawania w kraju, choćby to nawet było z naszą krzywdą (stratą), rozumie się, materjalną, zarobkową. I trafiłem na takich, którzy pozostając w mniemaniu, że w Ameryce czeka na nich lepszy byt materjalny, wyrzekli się go — nie z rzekomego bynajmniej „posłuszeństwa”, lecz z poczucia obywatelskiego.

A pani Moszczeńska podaje z tego tyle tylko: *Pan Prószyński oświadczył, że zawsze chłopów od emigracji odwodził i że udawało mu się to nawet wtedy, „gdy to było z ich krzywdą”*,—i na tym opiera dalsze swoje, uwłaczające mi zarzuty. Czyżby p. Moszczeńska uznawała, że „chłop” lub robotnik winien kierować się w życiu wyłącznie tylko zyskami materjalnymi, i że nawet nie wolno uświadamiać go w zakresie pojęć moralnych i społecznych?

W imię bezstronności racz, Panie Redaktorze, zamieścić niniejszy list w najbliższym n-rze *Prawdy* i tym sposobem umożliwić mi naprawienie krzywdy moralnej, wyrządzonej mi w tejże *Prawdzie* przez panią Moszczeńską.

Łączę wyrazy poważania

D. 19/X 1909 r. *Tadeusz Prószyński.*

Odpowiedź.

List pana Prószyńskiego tak zupełnie potwierdza moją cytatę, że możnaby go raczej przytoczyć, na dowód jak wiernie jego stanowisko określiłam. Wyraziłem sama przecież przekonanie, że p. Prószyński w swym sumieniu nie poczuwa się do żadnej winy względem ludu, który wbrew jego interesowi od emigracji odwodzi. Materjalną krzywdę wynagradza wedle jego mniemania dostatecznie — zadowolenie moralne z poczucia spełnionego obywatelskiego obowiązku.

Może wyjaśnię p. Prószyńskiemu moje stanowisko, gdy mu postawię pytanie, dlaczego nie wkłada raczej na obywateli ziemskich społecznego obowiązku zatrzymania chłopów w kraju bez ich straty, to jest przez takie podniesienie skali zarobków, by w kraju robić mogli oszczędności i posiąść dobrobyt jaki zdobywają zagranicą? Dla czego nasi przemysłowcy, właściciele hut i kopalń, nie mieliby kosztem materjalnych strat własnych tak podnieść płacy i tak zwiększać rozmiarów swych przedsiębiorstw, by istotnie emigracja wewnętrzna, to jest emigracja ze wsi do miast, mogła pochłonąć cały nadmiar ludności wiejskiej, której coraz drobniejące gospodarstwa chłopskie wyżywić nie mogą, a coraz wyższe ceny ziemi odejmują wszelką możność zdobycia własnego zagona?

Umoralnienie i uświadomienie tych warstw rokowałoby chyba lepsze rezultaty i nie narażałoby sprawy na dalsze powikłania. Zachodzi bowiem pytanie, czy skazany na nędzę, brud i ciemnotę chłop lub robotnik jest w stanie jakiekolwiek obywatelskie obowiązki pełnić, a obywatelskie prawa — posiąść?

Skutkiem nieprzystosowanego do miejscowych warunków ekonomicznych zwiększenia wydatków na robociznę groziłaby pracodawcom *co najwyżej* utrata majątków, ruina materjalna, ale nie degradacja kulturalna i umysłowa, podczas gdy dla chłopa lub robotnika wzrost zarobku i umożliwienie oszczędności jest warunkiem koniecznym wydźwignięcia się do poziomu jakiej takiej cywilizowanej egzystencji.

Jakkolwiek rozumiem tę ogromną różnicę, jakkolwiek w zestawieniu z istniejącą rzeczywistością widzę w tym bolesną ironję, gdy ludziom, którym przedewszystkim braknie chleba, niesie się wyłącznie idealne wartości moralnych obowiązków i zasług, zwalniając od nich tych, którym pewna powściągliwość w jedzeniu i piciu mogłaby tylko oszczędzić wydatków na Karlsbad, bynajmniej nie idę śladem p. Prószyńskiego i nie sądzę, by kwestję emigrancką można rozwiązać przez nawracanie dusz — tym razem ziemiańskich i fabrykanckich. Rozumiem jak niewdzięczną i mało obiecującą pracą jest skłanianie ludzi do pogodzenia się z własną krzywdą, czy to przez ustalenie nędzy, czy przez systematyczne dążenie do bankructwa. Nie obwiniam też o złą wolę tych panów, którzy zatrzymania emigrantów w kraju nie opłacają z własnej kiesze-

ni; nie stawiam im tak wysokich wymagań, jak p. Prószyński swym czytelnikom.

Nie leży w ich mocy wywołać taki nagły rozkwit przemysłu, by nasze stosunki zrównać np. z francuskimi, gdzie miasta pochłaniają cały nadmiar ludności wiejskiej a zarazem zapewniają dobry zbyt dla wszystkich rolnych produktów. Nie od nich zależy obniżenie bajecznie wygórowanych u nas cen ziemi włościańskiej, ani zwiększenie obszaru ziemi uprawnej, by każdy chłop z łatwością mógł przyjść do posiadania własnych choćby 10-ciu morgów.

Wierzę jednak, że różne zmiany ku lepszemu nastąpić muszą drogą stopniowej ewolucji pod wpływem naturalnych ekonomicznych czynników. Na razie takim czynnikiem zapobiegającym u nas pogrążaniu się ludu w coraz straszniejszą nędzę — na podobieństwo tej, jaka panuje w centralnych gubernjach Rosji, jest — jak stwierdzono wielokrotnie — nie co innego niż wychodźtwo.

I. Moszczeńska.

Wiec młodzieży akademickiej.

Staraniem Komisji Reprezentacyjnej Polskiej Postępowej młodzieży akademickiej we Lwowie, odbył się we czwartek, dnia 21/10 1909 w sali „Ogniska Drukarzy" wiec polskiej postępowej mł. akad. celem zademonstrowania przeciw straceniu Fr. Ferrera. W wiecu wzięło udział trzystu kilkudziesięciu kolegów i koleżanek — wielu dla braku miejsca musiało odejść. Po referacie kol. Ad. Konopczyńskiego, i przeprowadzeniu dwugodzinnej dyskusji uchwalono następującą rezolucję zaproponowaną przez dr. Orłowicza:

„Polska młodzież postępowa zebrana na wiecu dnia 21/10 1909: wyraża zdanie, że przez śmierć Franciszka Ferrera znieważoną została cała ludzkość skutkiem barbarzyństwa, popełnionego na osobie przedstawiciela najszlachetniejszej jej idei, jaką jest wolność myśli i wiedzy, — przyłącza swój głos oburzenia i protestu z powodu jego stracenia do głosu całej kulturalnej ludzkości — oraz oświadcza, że gotową jest przyjąć wezwanie i stanąć do walki z zaborczym klerykalizmem i reakcją, zapuszczającą swe szpony także i na nasz naród".

Kol. Ochrymowicz imieniem młodzieży ukraińskiej, i kol Schneider imieniem Związku Tow. Akad. Mł. Syońskiej, złożyli oświadczenia solidaryzujące się z powyższą rezolucją.

Prezydjum wiecu: Dr. Mieczysław Orłowicz, Leon Nowakowski m. p.

KRONIKA.

— Dnia 24 października otwarto sesję jesienną Dumy. Rząd nadesłał 70 projektów do praw przeważnie niewielkiego znaczenia. Narada prezydjum Dumy państwowej z udziałem przedstawicieli frakcji ułożyła program najbliższych prac Izby, które rozpoczną się od kwestji rolnej. W liczbie spraw, które mają przyjść pod obrady, niema ani kwestji samorządu w Królestwie, ani odłączenia Chełmszczyzny. Podobno ta ostatnia ma być odłożona na rok.

— Minister skarbu Kokowcew stanowczo sprzeciwia się wyłączeniu gub. Wyborskiej ze względu na trudności finansowe z tym połączone, ponieważ Finlandja zaciągnęła zagraniczne pożyczki, które przy zmniejszeniu jej terytorjum może nie byłyby dostatecznie zagwarantowane.

— Wybory dodatkowe do Sejmu pruskiego w Berlinie dały bezsprzeczne zwycięstwo socjalistom.

— W Charbinie w chwili spotkania ministra Kokowcewa z margrabią Ito dokonano na tego ostatniego zamachu i położono go trupem, raniono zaś ciążko towarzyszącego mu konsula japońskiego w Charbinie — Kawakami. Sprawcą zamachu był Koreańczyk, którego też ujęto. W Japonji wywołało to wielkie wzburzenie.

— Z powodu uchwały Sejmu bawarskiego o niewydawaniu przestępców rosyjskich, stosunki między Prusami a Bawarją są bardzo naprężone.

— Dnia 24 b. m. dokonano w Częstochowie w klasztorze jasnogórskim niezwykłej i zagadkowej kradzieży. Zrabowano mianowicie: cudowny obraz z kosztownych i pamiątkowych ozdób, w ogólnej wartości 300,000 rubli. Początkowo wartość skradzionych przedmiotów szacowano na 5 miljonów. Fakt ten poruszył szerokie koła społeczeństwa; zarówno wśród ludu, jak i innych warstw wrażenie jest silne. Niektóre organa prasy wzywają całe społeczeństwo (!) by wzięło udział w poszukiwaniu złoczyńców a Żydzi częstochowscy wydali do swych współwyznawców odezwę w tym duchu Dotychczas mimo zmobilizowania policji w kraju i za kordonem, w szczególności w Krakowie, na żaden ślad złodziei nie natrafiono, a to, co pierwotnie poczytywano za poszlakę, uznano raczej za środek zmylenia poszlak. W tym samym czasie dokonano również pomniejszych kradzieży w kilku innych kościołach.

OFIARY.

Na wpisy dla biednych uczniów od nadstępujących pracowników Twa Nikopol, Mariupolskiego w Sartanie, mianowicie:

L. Wasilewski rb. 10, F. Jabłkowski rb. 10, T. Kobyliński rb. 3, I. Tomaszewski rb. 1, S. Hegner rb. 2, S. Prauss rb. 2 kop. 50, B. Jankowski rb. 3, H. Cywiński rb. 2, S. Pilarski rb. 1, L. Gorazdowski rb. 3, G. Weker rb. 2, J. Rzewnicki rb. 2. J. Woroszyłło kop. 50, W. Lenk rb. 1, C. Padarewski kop. 50, A. Kozikowski rb. 1, Z. de O'Byrn kop. 50, J. Rajski rb. 1, A. Prokopowicz kop. 50, L. Czajkowski kop. 50, L. Mierzyński kop. 50, S. Szczawiński rb. 1. Razem rb. 48 kop. 50.

Książki nadesłane do Redakcji.

— L. Bruner i S. Tołłoczko: „Chemja organiczna". Warszawa, Geb. i Wolff.

— „Księga pamiątkowa nowego szpitala starozakonnych w Warszawie".

— Ignacy Grabowski: „Czarna dama". Skład główny E. Wende i S-ka.

— „Bibljoteka klasyków polskich" p. Tadeusza Piniego. Zeszyt I.

— Marjan Dubiecki: „Młodzież polska w uniwersytecie Kijowskim przed rokiem 1863".

— Ludwik Chełmicki: „Wrzosy". Warszawa 1909.

— Franciszek Baytel: „Hygiena i zdrowie". O własnościach leczniczych promieni słonecznych. Warszawa skł. główny w księgarni Gebethnera i Wolffa.

— Edward Leszczyński: „Atlantyda" dramat. Nakładem autora Kraków 1909 roku. Skład główny w księgarni Gebethnera i Wolffa.

— Ignacy Radliński: „Spinoza" Centnerszwer.

— Iwo Płomieńczyk (Maryla Wolska): „Dziewczęta" Wende i S-ka w Warszawie.

— Władysław Jankowski: „Puławy" wyd. Macierzy Polskiej Lwów.

— Jadwiga z Łobzowa: „Rodzinny Dom". Lwów wyd. Macierzy Polskiej.

— Witold Józef Byszewski: „Korespondencja handlowa". Geb. Wolff.

— Jadwiga z Łobzowa: „Za naszą i waszą wolność" wyd. Macierzy Polskiej. Lwów.

— Kazimierz Króliński: „Opowiadania rozmaite" wyd. Macierzy Polskiej. Lwów.

— Jan Kleczyński: „Rzeźba współczesna". Wyd. „Sfinksa" Warszawa.

Prenumerata „Prawdy"

(wraz z bezpłatnym dodatkiem):

W Warszawie: miesięcznie kop. 70, kwartalnie rb. 2, rocznie rb. 8, z odnoszeniem do domu.

przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rb. 2 kop. 50 rocznie rb. 10.

Za zmianę adresu dopłaca się 20 kop.

Sekretarz redakcji przyjmuje interesantów codziennie, oprócz niedziel i świąt, od 5 — 7 pp.

Rękopisów nie odsyła się. Autorowie prac nieprzyjętych mogą je odbierać w przeciągu trzech miesięcy, osobiście w Redakcji lub za pośrednictwem poczty, po nadesłaniu kosztów przesyłki. R kopisy drobne nie zwracają się.

Korespondencji nieopłaconych lub niedostatecznie opłaconych nie przyjmuje się.

Ogłoszenia wszelkiej treści po k. 20 za wiersz garmontowy jednoszpaltowy lub jego miejsce (strona ogłoszeniowa zawiera 4 szpalty).

Przedpłatę przyjmują: Administracja **Prawdy** oraz wszystkie księgarnie, kjoski i kantory pism perjodycznych.

Sprzedaż pojedyńczych numerów po kop. 20 w Warszawie w Administracji pisma i w kioskach.

Administracja otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt, od godz. 10 do 2 i od 4 do 7 pp.

Wydawca: **Józef Jabłoński.** Redaktor: **Roman Nowakowski.**

Druk K. Kowalewskiego. Warszawa, Mazowiecka 8.